RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



CASTEL GANDOLFO — SIEDZIBA LETNIA PAPIEŻA.

ROK VIII WARSZAWA WRZESIEŃ—1934

Cena ogłoszeń zatekstowych: ½ str. — zł 700, ¼ — zł 380, ⅛ — zł 200, ⅛ — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank. 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł; **KWARTALNA** — 2.00 zł. Cena **POJEDYŃCZEGO** nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak.-Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14-664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VIII. WARSZAWA, WRZESIEŃ 1934.



Port gdyński

WÓDZ MŁODYCH

Ludzkość potrzebuje wodzów. Potrzebuje ich zwłaszcza młodzież, rwąca się do życia, do czynu, pragnąca zdobyć należyte miejsce na świecie, usiłująca zaznaczyć swą wolę istnienia. Ogląda się ona za wodzem, któryby ją poprowadził świetnym szlakiem sukcesów do ostatecznego zwycięstwa, do osiągnięcia najsłoneczniejszych nadziei, najgorętszych marzeń i pragnień, do spełnienia swej misji.

Biada jednak, gdy na czele młodzieży staną warchoł i szarlatani. Biada, gdy rozpalą w niej nie wzniosłe pragnienia, lecz poziome żądze i namiętności, gdy żywioł życia, przelewający się przez brzegi młodocianych dusz i serc skierują nie w górę, strzelistym lotem ku szczytnym hasłom i zamierzeniom, lecz rozpuszczą po szerokiej płaszczyźnie. Wtedy, jak powódź grząskim złowonnym namułem, rozleje się młodzieńcza moc po społeczeństwie, niosąc zniszczenie, zdziczenie, gotując sobie i otoczeniu klęskę.

Wtedy młodość rozzuchwalona i rozpętana pędzi zdradziecką i morderczą falą rewolucyjną, obala stare porządki, zaciera miedze praw, wydziera z łona ziemi wszystko, co ma jakąkolwiek wartość i tratuje, niweczy, niszczy, gnoi, druzgocze. Wtedy młodość upaja się potęgą burzycielską, wtedy rozkoszuje się swą drapieżną, krwiożerczą siłą, wtedy obala, grabi, zabija. I wtedy ostatecznie zaprzepaszcza siebie, depcze i skopuje własne posłannictwo, a zostawiwszy gruzy, śmietniska, pogorzeliska i trupiarnie, składa smutne świadectwo swej nicości. Nasz wiek miał tragiczną sposobność oglądania w różnych czasach, miejscach, krajach rewolucyjnego rozpętania młodości, widział ją upojoną krwawym oparem, widział ją zbestwioną, tratującą godność, człowieczeństwo i boskość.

Tego ponurego widowiska świadkiem był i zmarły tak wcześnie ks. Edward Szwejnic w czasie październikowej rewolucji rosyjskiej.

Przejęła go ona grozą apokaliptyczną, a następnie zrodziła w nim pragnienie przeciwstawienia się tym, którzy rozpętują żywioł młodości i skierowują go na manowce. Przeciwko wodzom wiodącym na zatracenie postanowił stanąć jako wódz dobry, prowadzący w wzwyż, ku ideałom, ku mocy, co nie niszczy nie paczy, lecz buduje i wznosi. Pamiętam go bezpośrednio po wojnie polsko-bolszewickiej, gdy na wiecu w Tow. Higienicznem, urządzonym pod hasłem szkoły świeckiej, wystąpił śmiało przeciw socjal-komunistycznym prowodyrom, w rodzaju „osobistego wroga P. Boga" Kazimierza Czapińskiego i rzucił gromkie a mocne ostrzegawcze „nie pozwalam". Cóż to za ulga była dla nas młodych katolików, co jeszcze w mundurach przyśliśmy na ten wiec, by zadokumentować, że linja frontu antykomunistycznego, wyznaczona naszemi bagnetami, biegnie głęboko w społeczeństwo, że na tym froncie przyjmiemy odważnie walkę o dusze, o nasze młode dusze, jak na tamtym, ziejącym i szalejącym huraganem artyleryjskim, przyjęliśmy walkę o granice. Na tym froncie pojawił się nagle kapłan, płomienny, owiany profetyczną mocą. Przeczuliśmy w nim wodza. Uznaliśmy go i stał się wodzem młodego pokolenia Polski odrodzonej. Stanął na wyłomie z piersią nastawioną przeciw wrogom, twarzą przychylnie pochyloną ku młodzieży. Objął rząd jej dusz. Z wielką miłością pochylił się nad temi duszami, wgłębił w nie i uznał je w całej ich słabości i nierozwiniętej wielkości. Co za porywające zadanie oczyścić te dusze z namułu istnienia, wyplenić z nich chwasty ziemskości, i tak przygotowane uświęcić obecnością Chrystusa. Wcielić w nie, w te dusze Polski młodej, Chrystusa! Stał się fanatykiem tego zadania.

Brał dusze młodzieńcze w ręce, jak skarb najcenniejszy, przyglądał im się badawczo, wczuwał się w ich tętno, drżał i bolał, gdy było zmącone, radował się i promieniał szczęściem, gdy zaczęło się wyrównywać, gdy wśród mroków zaczęło jaśnieć w nich światło Boże.

Posłuchajmy, jak mówił o tem wglądaniu w dusze...

„Gdy ja — kapłan, po 18 godzinach spowiadania podczas rekolekcji wyszedłem koło pierwszej w nocy z konfesjonału, to miast znużenia, czułem wzmożenie, jakbym oddychał górskiem powietrzem — tak oddychałem pięknem duszy młodzieńczej. Dla każdego Polaka taką jest dusza naszej młodzieży. Ale i na słońcu są plamy, więc i młodzież nie jest bez błędów i usterek — boleje ona nad tem i dąży do poprawy.

Ja, jako kapłan-pedagog, chcę oświadczyć Polsce i światu całemu, że dusza młodzieży polskiej jest czysta i piękna — i najwyższą zbrodnią, oszczerstwem jest podchodzić do tej duszy bez zrozumienia".

Ks. Edward rozumiał tę duszę, był czujny na każde najmniejsze, ale charakterystyczne jej drgnienie.

W lot je chwytał, wzmacniał jak najczulszy odbiornik i wypowiadał. Wypowiadał cały ból młodych dusz, by z niego je leczyć i wypowiadał całe ich wzniosłe piękno, by je uświadamiać, potęgować, utrwalać, by z tego piękna stworzyć nową polską rzeczywistość, nową potężną Polskę Chrystusową, tę Polskę, której wrogowie się ulękną — jak to sam powiedział.

Tak z roku na rok prowadził dzieło chrystjanizacji młodego pokolenia akademickiego u nas. A przez to przyczyniał się do budowy fundamentów nowej epoki życia katolickiego w Polsce.

Czyż trzeba przypominać tak pamiętne i do dziś żywe jego dzieła i czyny? Te tysiące młodych inteligentów wstępujących z nadzieją i zaufaniem, nieraz po raz pierwszy po długich latach błąkania się w progi świątyni, klękających z westchnieniem ulgi do konfesjonałów i przeżywających moment niebiańskiej ekstazy u stołu pańskiego. Spójrzcie w oczy młodej Polski Te które jaśniejsze, gorętsze, płomienniejsze, połyskujące szlachetnym blaskiem zapału to oczy, które patrzały na księdza Edwarda.

Spójrzcie w dusze! Te, które bardziej zrównoważone, świadome celu, mocniejsze, pewniejsze, to dusze, które wyrosły i zmężniały pod jego wpływem.

Z nich tworzył tę mickiewiczowską Polskę ducha, której granice leżą na granicy ludzkich dusz.

Im szersze i mocniejsze, tem szersza i mocniejsza Polska. Ożywiwszy życie nadprzyrodzone w duszach młodzieży, nadprzyrodzonością ożywiał Polskę. A jednocześnie czujnym swym umysłem budził umysły młodych katolików, skierowywał ich na tory zainteresowań doktrynalnych. W nauce katolickiej jest bowiem niezbędne uzupełnienie mistyki życia religijnego.

W ten sposób powstało dzieło harmonijne, w ten sposób młodzież nasza, poszukująca autorytetu, pod przewodnictwem swego wodza, ks. Edwarda Szwejnica, znajdowała go w Chrystusie, tym wodzu wodzów. Dziś, choć ten kapłan wódz odszedł, młoda armja Chrystusowa w Polsce jest zdyscyplinowana i wytrzyma niejeden atak.

Józef St. Czarnecki.



W ciszy leśnej...

KAZIMIERZ PUŁASKI

Stawam na placu
Z Boga ordynansu!
— —
Rangę porzucam dla nieba wakansu,
Dla wolności ginę, wiary swej nie minę,
Ten jest mój azard.

(Z pieśni wojennej konf. barskich).

W wielkiej potrzebie Rzeczypospolitej zostało podjęte dzieło konfederacji barskiej w 1768 roku. Kraj był w upadku politycznym i moralnym. „Obce wpływy — powiada prof. Konopczyński [1]) — przeżerały od wieku moralną tkankę Rzeczypospolitej. Rozbiór stawał się uprawnionym tematem rozpraw, a zanim przybrał postać gotowego traktatu, urzeczywistniał się w sferze duchowej z niepowstrzymaną siłą“...

Klucze naszej niepodległości oddawna już były w obcem ręku. Nieudolny, jako polityk, człowiek złych obyczajów, król Stanisław Poniatowski, reprezentował niegodnie majestat Rzeczypospolitej. Pod jego to adresem w jednym z ulotnych wierszy wołał pewien konfederata: „Lżysz wiarę, gniewasz Boga, szpecisz (hańbisz) polskie imię“! [2]).

W akcie zawiązania konfederacji barskiej czytamy: „Płacząca i umierająca ojczyzna naszym się synowskim poleca afektom, doprasza się z tej ostatniej toni powinnej miłości. Modli się za nas Kościół i czeka od nas skutków uroczystych obietnic na chrzcie św. oświadczonych; oczekuje świat cały, co o nas powiedzieć“ [3]).

W Warszawie rządził rzeczywiście nie król, lecz ambasador Moskwy, książę Repnin. Za królem stała familja Czartoryskich i Branickich, którzy świadomie szli na usługi Rosji. Temu rozdwojeniu społeczeństwa przypisać można, że większość narodu pokryła milczeniem gwałt dokonany przez Repnina na biskupie krakowskim Sołtyku, biskupie kijowskim Załuskim i wojewodzie krakowskim, hr. Rzewuskim.

Program konfederacji antyrosyjskiej układano już w roku 1767. Ostatecznie dzieło doszło do skutku w rok później, dzięki staroście wareckiemu, Józefowi Pułaskiemu.

---

[1]) Od Sobieskiego do Kościuszki, 1922.

[2]) Powinszowanie dla króla St. 1769. Rkp. Bib. Ossol. 568. — W dowcipnem „Epitaphium Stan. Aug. Regi" pisał inny konfederat:

„Stanislaus Augustus
Nec pius, nec iustus,
Vivit sine fide, sine lege,
Perrexit sine grege,
Requiescat in pace.
Pix perpetua luceat ei. Amen".
Rkp. Bib. Ossol. 332.

[3]) Bar: 15 marca 1768 r.

Konfederację utworzono jako rodzaj Bractwa Kawalerów Krzyża św. We wspomnianym akcie oświadczają: „Widząc oziębłość w duchowieństwie wyższem, a w głowach większych świeckich obojętność, tudzież w obywatelach bezwstydną bojaźń, przysięgamy Panu Bogu w Trójcy Jedynemu, Najśw. Pannie Marji i wszystkim Świętym podnieść oręż przeciw wrogom wiary i narodu".

Wogóle dla całego tego ruchu ogromnie jest charakterystyczne połączenie momentów narodowych, patrjotycznych z religijnemi. W dziejopisarstwie mówi się więc nieraz o tym zjawisku jako o „świętej konfederacji". Przyczyny tego ścisłego związku szukać należy w tem, że Rosja dla osiągnięcia swych celów podnosi sprawę dysydencką, by uczynić z niej narzędzie rozdwojenia społeczeństwa. Przy znanej polskiej tolerancji był to pomysł złośliwy i szatański. W każdymbądź razie konfederatów cechuje wysoki poziom etyczny, dzięki czemu w ich wystąpieniach niema nienawiści czy złości przeciw inowiercom, ani chęci wykorzystania sytuacji wojennej [4]) Toteż do szeregów konfederacji wchodzi wielu dysydentów, którzy osiągają tam stopnie oficerskie, a jeden z nich, baron kurlandzki Karol H. Heyking, został sekretarzem konfederacji dla spraw zagranicznych.

Dzieło konfederacji miało bardzo zmienne koleje. Po zdobyciu Baru [5]) i Berdyczowa przez Rosjan, konfederaci wycofują się do Turcji, gdzie obozują aż do roku 1772, prowadząc walkę papierową, listami dyplomatycznemi i pamfletami i gdzie oczekują korzystnej konjunktury politycznej po wybuchu wojny Turcji z Rosją. Konfederacja rośnie w siły i nastaje moment, że nawet familja Czartoryskich nakłania króla do porozumienia z nią. Austrja i Francja, która popiera konfederację, pochwala tę myśl. Tymczasem konfederacja, ufna w swe siły, ogłasza akt detronizacji. Biskup Krasiński, jeden z przywódców konfederacji, nazwał czyn ten „strzałem do własnej stodoły". Król zmuszony jest bowiem związać się ostatecznie z Moskwą, konfederacja musi zaś stoczyć decydującą z nią walkę.

W tym momencie występują na szerszą widownię trzej bracia Pułascy i synowie zmarłego w Turcji — Józefa. Szczególnie Kazimierz Pułaski odznacza się wybitnemi talentami wodza i żołnierza.

Kiedy konfederaci, po wkroczeniu w granice Rzeczpospolitej ponieśli klęskę dzięki nieudolności wodza Francuza Dumourieza pod Lanckoroną, Pułaski ratuje sytuację śmiałym marszem na Zamość.

Innym wielkim epizodem była obrona Częstochowy, której dowódcą był Kazimierz Pułaski. Już w akcie konfederacji znajdujemy gorące słowa, poświęcone tej twierdzy: „Forteca częstochowska, miejsce cudami wsławione i honorami Najświętszej Królowej Polskiej poświęcone, stanowimy, aby starym obyczajem i przywilejami cieszyć się mogło bez względu na wszelkie przeciwieństwa. Bezpieczeństwo skarbców... depozyt Matki Boskiej Najświętszej chwale i honorowi poświęcony... warujemy" [6]).

W diariuszu „Obrony Częstochowy" w grudniu 1770 r. znajdujemy dowody głębokiego religijnego nastroju obrońców.

Po odparciu pierwszego szturmu: „za nastaniem zmroku, po zabitym capstrzyku, kapela na waltorniach, obojach i innych instrumentach pieśń ku czci Matki Boskiej na bastjonach wygrywała".

4 stycznia 1771 r. nastąpił nowy atak gen. rosyjskiego Drewicza, który uderzył na fortecę bardzo silnym ogniem działowym. Strzały nie wyrządzały jednak strat. „Wpadła pod ten czas — pisze diariusz — jedna kula, na środek wieży, ale protekcją Matki Boskiej ugaszona, inne zaś bomby, padając na kaplicę i kościół wielki, przez dach wpadały wewnątrz, nic nie szkodząc".

W nocy tegoż dnia Pułaski w odwecie uczynił wypad z fortecy na rosyjskie pozycje, udało się zagwoździć trzy armaty i wyciąć załogę. O tym sukcesie pisze diariusz: „I tak tej nocy błogosławiła Matka Boska dziełu konfederackiemu, po którem była nazajutrz solenna wotywa i procesja ze śpiewami: Te Deum laudamus, podczas którego rzęsiście strzelano na wszystkich bastjonach".

9 stycznia Moskale wykonali nowy atak szczęśliwie odparty, „za co w dzień 10 stycznia, poświęcony św. Pawłowi pustelnikowi, patrjarsze Paulinów, podziękowano wotywą solenną za otrzymaną wiktorję".

Imię Pułaskiego zostało opromienione chwałą. Szczególnie wyprawa na rosyjskie armaty jest opiewana przez poetów. Konstanty Gaszyński taki dytyramb wyśpiewał:

Zna go Litwa, Ukraina,
Kraków kocha go jak syna,
Jako brata czci go lud warszawski,
To bohater barskich szyków,
Ajaks polskich bojowników,
Konfederat Kazimierz Pułaski.

Kazimierz Pułaski był rzeczywiście „rycerzem z Boga ordonansu", wychowany w rodzinie szczerze katolickiej, wziął na siebie ciężar idei ojca swego Józefa, uporządkowania Polski i zabezpieczenia Kościoła przed jego wrogami.

---

[4]) W uniwersale do dysydentów i adherentów moskiewskich (24/I 1770) czytamy: „Z ostatniej wybijająca się toni Rzplita, wszystkie do pozwolonej przez prawa Boskie, prawa natury i prawa narodów obrony przedsiębiorąc sposoby, z samymi dysydentami, pierwszymi tego fatalnego w Ojczyźnie naszej ognia autorami, z tak niepospolitą postępowała delikatnością, iż gdy się na nich skarżyła, jako burzliwych Ojczyzny synów, oszczędzała jako szlachtę i współbraci".

[5]) Panowie — to miejsce stoi,
To miejsce Bar się nazywa,
Tu my, rycerze bez plamy,
Z odkrytą przed Bogiem głową,
Pod chorągwią Jezusową,
Za kraj nasz poumieramy,
Zatknąwszy wieczne sztandary,
Dla miłości i prawdy i wiary.
J. Słowacki.

[6]) Akt konf. barskiej.

KŁĘBOWISKO ŻMIJ

Członek Akademji Fr., czołowy pisarz Francji katolickiej, Fr. Mauriac, ogłosił przed rokiem powieść pt. „Kłębowisko żmij", zasługującą na pilną uwagę.

„Bohaterem „Kłębowiska żmij" jest siedemdziesięcioletni adwokat, ojciec licznej rodziny, dzieci i wnuków dorosłych, który szuka ulgi w powieści swego życia. Właściwie jednak spisanie „pamiętnika" jest nowym orężem w walce z własną rodziną, żoną przedewszystkiem.

To w jego sercu właśnie, w sercu uzewnętrznionem w tym pamiętniku wre, syczy kłębowisko żmij, skupione dokoła swej władczyni, królowej namiętności, nienawiści.

Starzec całą siłę swego serca ześrodkował w tej nienawiści, którą zionie do rodziny. Zaczyna poruszać nim potworna manja prześladowcza. W rodzinie widzi zespół wrogów, czyhających na jego śmierć, by następnie zagarnąć łapczywie schedę. Zapracował w okresie swej działalności sądowej duży majątek, lecz nie znajduje w nim żadnego zadowolenia, tak samo nie cieszy go sława adwokacka. Z dziką pasją stara się zniszczyć obie te wartości na hulankach i rozpuście. Jest to właściwie jedyny zewnętrzny wyraz tej jego namiętnej nienawiści otoczenia, gdyż, trzeba stwierdzić, nie ujawnia pozatem on niczem toczącego go gadu. Nic więc dziwnego, że hamowana pasja zatruwa gruntownie jego krew i duszę oraz powoli, niewidzialnie oziębia swem straszliwem ciśnieniem, niby potężny frygidator, atmosferę współżycia rodzinnego.

Im pomyślniej układa się karjera światowa naszego adwokata, tem bardziej swym ciężarem druzgoce fundamenty jego życia rodzinnego. Zasypuje i zamula wszystkie drogi komunikacji, porozumienia i współczucia. Napozór wydaje się wszystko w porządku. Nasz bohater umie trzymać na uwięzi każdy swój gest, umie się hamować. Ale wewnętrznie nurtuje go złośliwa myśl, zrodzona z potwornego samolubstwa, która każe z nienawiścią myśleć o spadkobiercach całożyciowego dorobku.

Niestety nie znajduje on przeciwwagi dla swych uczuć w żonie. Małżeństwo z panną Fondaudege nie spełniło jego aspiracyj uczuciowych.

Jakkolwiek było to małżeństwo „dla splendoru", małżeństwo, gdzie, jak w tylu rodzinach francuskich, interesy mogłyby iść w parze z rozkwitem uczuć... Ale tu właśnie zabrakło budowniczego... Iza de Fondaudege wywodzi się z tej rzeszy panien „dobrze myślących" — wyposażonych. Zasady religijne, zasady rodzinne, trochę snobizmu utemperowanego przez dobre wychowanie. Wszystko tu jest normalne, z góry ułożone, umiarkowane. Po przyjściu na świat pierwszego dziecka, Iza przestaje być żoną, kobietą, istotą myślącą. Staje się już tylko matką. Służba temu szlachetnemu instynktowi pochłonie ją bez reszty... Jedynie w chwili zbiorowego ataku całej rodziny — dzieci, wnuków, zięcia — na męża „dobre zasady" a może i pewien odruch prawości naturalnej, każą jej zachować pewien dystans moralny i „chwiejność szlachetną".

W każdym razie słabiutka dobra wola małżonki Izy rozbija się, musi rozbić się całkowicie o twardą zjeżoną zaporę dumy męża, pomieszanej z nieśmiałością. Jest to niebezpieczna mieszanina prochu z odłamkami żelaza, której wybuch wywołać może straszliwe następstwa. Zapora rośnie. Dwa wrogie światy organizują się na obcych sobie zasadach: pełnego indywidualizmu i solidarności rodziny.

W pamiętniku adwokata mamy wyraźnie nakreślony obraz narastania tej zapory, wypełnionej tak niebezpiecznymi materjałami pirotechnicznemi. Widzimy dokładnie, jak pomimo całej bliskości fizycznego współżycia, rośnie dystans duchowy między obojgiem małżonków, jak stają się sobie coraz bardziej obcy, obojętni a wreszcie wprost nienawistni. Trzyma ich jeszcze firma małżeństwa, treść już wyparowała. Została tylko nędzna skorupa pozorów, zdrowe, pożywne jądro zwiędło, stlało, zniknęło.

I oto, rzecz zdumiewająca, to co powinno zbliżyć tych dwoje, co powinno uświęcić ich związki, staje się przyczyną jeszcze większego pogłębienia przepaści między niemi. Dzieci, wpływ na dzieci staje się przedmiotem zawiści, zazdrości, która wyrasta w głuchą nienawiść, rozdzierająca serca i rozdzielającą małżonków. Mówi nam bohater o tem z rozbrajającą szczerością.

„Rozpoczął się okres długiego milczenia, nieprzerwanego od czterdziestu lat. Nazewnątrz nic nie zdradzało tego załamania. Wszystko toczyło się dawnym torem, jak w godzinach mego szczęścia. Byliśmy dalej złączeni ciałem, a imię Rudolfa nie plątało się już śród uścisków, nie wymawiałaś więcej tego groźnego imienia. Zjawił się na twoje zawołanie, krążył koło naszego łoża, dokonał swego dzieła zniszczenia, a teraz nie pozostawało nic innego, jak zamilczeć i czekać długiego łańcucha powiązanych z sobą skutków i następstw.

Być może, poczułaś, że popełniłaś błąd. Nie myślałaś poprostu, że będzie najrozsądniej skreślić to imię z naszych rozmów. Nie wiem, czyś zauważyła, że nie rozmawialiśmy już z sobą po nocach, jak dawniej. Przyszedł kres naszym niekończącym się rozmowom. Nie mówiliśmy już nic, coby nie było starannie rozważone. Każde z nas miało się na baczności

Budziło mnie pośród nocy, budziło mnie moje cierpienie. Związany byłem z tobą, jak lis z potrzaskiem. Wyobrażałem sobie, jakby to wyglądało, gdybym cię schwycił brutalnie i wyrzucił z łóżka. „Nie, nie kłamałam ci — krzyczałabyś, — gdyż ciebie kochałam!" — „Tak, w braku lepszego! Przecież to tak łatwo zdobyć się na ten dreszcz fizyczny bez znaczenia, aby przekonać, że się człowieka kocha. Nie byłem potworem: pierwsza lepsza dziewczyna, którаby mnie pokochała, zrobiłaby ze mnie, coby jej się podobało". Czasem jęczałem wśród ciemności, ale ty nie budziłaś się.

Zresztą twoja pierwsza ciąża uczyniła zbędne wszelkie wyjaśnienia i pomału zmieniła nasze stosunki. Rozwiązała się przed winobraniem. Powróciliśmy do domu, gdzie poroniłaś i musiałaś w ciągu tygodnia leżeć bez ruchu. Na wiosnę znowu byłaś brzemienna. Trzeba było cię oszczędzać. Zaczęły się te lata brzemienności, wypadków, chorób, dały mi one aż nadmiar pretekstów do oddalenia się od ciebie. Pogrążyłem się skrycie w rozwiązłości, bardzo skrycie, gdyż



Słońce przez liście...

właśnie zaczynałem usilnie zajmować się obroną, byłem „po uszy pogrążony w sprawach", jak mawiała matka i chodziło mi o zachowanie pozorów. Miałem swoje godziny, swoje przyzwyczajenia. Życie w mieście prowincjonalnem rozwija u człowieka rozwiązłego instynkty przebiegle tropionej zwierzyny. Bądź spokojna, Izo, oszczędzę ci tego wszystkiego, co cię napełnia przerażeniem. Nie obawiaj się opisu tego piekła, do którego wstępowałem niemal co dnia. Wtrąciłaś mnie do niego spowrotem ty, która mnie z niego wyrwałaś.

Gdybym był mniej ostrożny, byłabyś oszołomiona tem, co widzisz. Od urodzenia odsłoniłaś swą własną naturę: byłaś matką. Twoja uwaga odwróciła się odemnie. Już nie widziałaś; widziałaś dosłownie tylko swoje małe. Zapładniając cię, spełniłem to, czego odemnie oczekiwałaś.

Dopóki dzieci były małemi bąkami, a ja nie zajmowałem się niemi, żaden konflikt nie mógł między nami powstać. Spotykaliśmy się tylko w tych rytualnych ruchach ciał, działających z przyzwyczajenia — kiedy kobieta i mężczyzna są każde o sto mil od samych siebie. Dopiero wówczas zaczęłaś spostrzegać moje istnienie, gdy ja z kolei począłem zabiegać koło małych. Twoja nienawiść zrodziła się dopiero wtedy, gdym zgłosił swoje prawa do nich. Ale wyznam ci ku twojej pociesze: nie powodował mną w tym wypadku instynkt ojcowski. W prędkim czasie począłem zazdrościć, że zdołały pozyskać dla siebie twoje uczucie. Tak jest, usiłowałem ci odebrać dzieci, aby cię ukarać".

Postać adwokata jest niewątpliwie tragiczna. Ale jej tragizm nie jest nieodwołalny. W miarę, jak w bohaterze utworu rośnie świadomość jego stanu duchowego, i możność zrozumienia strony przeciwnej, żony i dzieci, otwiera się w jego duszy głębsza perspektywa, źródło niewyczerpanej rekompensacji ludzkich namiętności i złości — źródło łaski, źródło miłości mistycznej. Zaczyna się dramat wyzwalania z okowów pasji. Prometeusz zrywa straszliwe, wżerające się w duszę pęta nienawiści człowieka. W kłębowisko żmij namiętności padają rażące je śmiertelnie pioruny oświecenia duchowego. Zaciemniony nieboskłon duchowy wyjaśnia się, pęka straszliwa zapora, oddzielająca od światła i nagle okazuje się, że tak blisko jest od człowieka do człowieka, trzeba tylko przyjaźnie wyciągnąć ramiona.

W tej powieści Mauriac powiększył o kilka nowych typów swą wzruszającą galerję grzeszników, których z takim mistrzostwem umie malować. Jest jego zasługą, że uczynił to z taką nieporównaną szczerością i wnikliwością, że odmalował nam całą przerażającą głębię upadków moralnych, całą piekielną topografję grzechu, całą straszliwą dynamikę namiętności.

Poznajemy pod jego kierownictwem naocznie zakamarki duszy, pozbawionej łaski Bożej; stan niełaski znalazł w Mauriacu pierwszorzędnego psychologa i diagnostę.

Z powieści Mauriaca wynika także i wartościowa prognoza, którą uważny czytelnik niewątpliwie dostrzeże, wskazanie dróg, na których można wyzwolić się z omamu i z pęt namiętności.

DLACZEGO KŁOS DA SIĘ OBJĄĆ DŁONIĄ...

LEGENDA PODLASKA

Pani Agnieszce Sokołowskiej.

Niby to nieładnie tak na swoją okolicę wyrzekać, a'e co prawda, to prawda: na Podlasiu niema za dobrej ziemi, więc i urodzaje nie są takie dobre, jakby tego ludzie chcieli. Kto pracuje a ziemię porządnie wynawozi, gnój wporę wywiezie, albo jeszcze proszkiem posypie, jak to dziś radzą robić, to i ma kłosy podsypne. Ale niechno się kto poleni, nie dopatrzy, to ani się obejrzy, wyrośnie mu licha słoma z kąkolem, makiem, chabrami, zagon będzie kolorowy jak gałganiarz na podłogę z miejskich łatek, zato kłos to po trzy ziarna ma najwyżej. Dawniej to było przysłowie takie, że

szlachcic podlaski
ma laski, piaski, karaski,
sieje tatarkę
i ma żonę Barbarkę.

Teraz szlachty już tu się nie doszuka i lasków to też niema, a piaski. jak były, tak są i nawet jest ich więcej, bo gdzie wycięli las, tam odrazu zrobił się wydmuch piaszczysty. Nacięli tego lasu, to nacięli. Dzisiaj kościółek świętego Stanisława pod Żelechowem to stoi w szczerem polu. Porządnie się człowiek napoci, zanim tak w południe dojdzie do kościółka. Nigdzie ani kropli cienia. Ale starzy ludzie opowiadają, że jak się zjawił tam święty Stanisław, las był ogromny pod sam Żelechów. Nawet na górze nad zdrojem rosły ogromne drzewa. Święty obraz znaleźli właśnie na drzewie.

I karasek teraz niewiele na Podlasiu. Po dworach to jeszcze mają stawy. dbają o narybek, ale gospodarzowi co tam po rybach! Na piątek i na wilię śledź wystarczy. Tam ryba znowu taki smak wielki! Dlatego stawów coraz mniej się robi. Pod Żelechowem był kiedyś ogromny staw dworski, ale jak go przed wojną jeszcze spuścili. tak została z niego tylko rzeczka. Mówi się jeszcze o domach nad stawem. które stoją u wilczyskiej drogi. ale to z przyzwyczajenia. Dzieci też tak mówią, bo się od rodziców uczą, żadne jednak stawu nie pamięta. Nawet tacy, co się teraz żenią już. nie widzieli go w dzieciństwie. A mówią: dom nad stawem.

Piasków to na Podlasiu nigdy nie brakowało. Jak Paniezus z Matką Boską mieszkali na Podlasiu... A było to wtedy. zanim święty Jan Chrzciciel ochrzcił Paniezusa i zanim Paniezus zaczął swoją pracę w Ziemi Świętej. Ewangelja święta powiada. że Paniezus żył wtedy w ukryciu, ale stare opowiadania są, że Paniezus ukrywał się przed żydami właśnie tu na Podlasiu. Otóż widzicie, za czasów Paniezusa to te piaski tak rodziły, że daj Panie Boże dziś chociaż trzecią część tego. Najlepsza pszeniczna ziemia wysypana cal przy calu potasową solą nie da tyle z morga, co za Paniezusa mórg zwyczajnego piasku bez nawozu nawet. Bo wtedy zupełnie nie było słomy, tylko od góry do dołu kłos ogromny, w którym ziarno przy ziarnie było ubite jak kamień przy kamieniu w miejskim bruku. Tyle było słomy od ziemi, co brudu za paznokciem, ale nie teraz, tylko wtedy, a ludzie byli za czasów Paniezusa ogromnie czyści.

Nie było wtedy głodu na Podlasiu. Gospodarze zawsze mieli chleba do nowego, biednym nie żałowali, choć tak prawdę mówiąc, to tych biednych był jeden w piątek po proszonem, albo i nie było. Jak kto się spalił, albo stracił majątek, to mu proboszcz albo któryś bogatszy gospodarz dawał zagon albo i pół, żeby miał na czem zboża zasiać, a jak zasiał, to miał co jeść i dla siebie, i dla rodziny na cały Boży rok. Przyjemniej takiemu człowiekowi było jeść swoje własne niż to, co mu daliby ludzie. Zawsze to ludzka łaska może stanąć kołkiem w gard'e, jak ktoś niby litościwy zacznie opowiadać sąsiadom, co to biednemu dał w piątek. Najlepiej to jak się ma swoje. Nikt tego nie wymówi i choćby to suchy razowy chleb, smaczniejszy od świeżego z masłem, gdy ktoś go wypomina.

Miło to było patrzeć na żniwa, jak ludzie zbierali to cudowne zboże. Sam Paniezus wtedy też pracował na polu. Nikt już nie pamięta, które to było pole Paniezusa, ale jak się domyślają, to musiały to być role na Krzyżu pod Żelechowem. Teraz mówią, że Krzyżem nazywają się te role dlatego, że tam stoi krzyż, ale jacy ci ludzie dziwni, że nie pomyślą, d'aczego tam stoi krzyż. Nie można za to dawać głowy, ale krzyż na Krzyżu postawili ludzie pobożni, kiedy z Ziemi Świętej przyszła wiadomość, że żydzi Paniezusa na krzyżu umęczyli. Żeby to Paniezus został tu na Podlasiu! Napewnoby nie umarł taką straszną śmiercią! Okropnie się ludzie zasmucili wiadomością bolesną i stawiając krzyż, chcieli zostawić pamiątkę w tem miejscu, gdzie Paniezus świętemi swojemi rękami uprawiał podlaską rolę.

Z żęciem to ludzie kłopotu nie mieli. To się wie. A dopiero oczy się cieszyły, gdy się widziało fury wypakowane zbożem, że ledwie do stodoły wjechać mogły. A nieraz to trzeba było nawet zrucać snopki z wierzchu. Anijak fura nie chciała inaczej wjechać. A co to była za fura! Teraz jedna chuderlawa szkapa galopem ciągnie furę. No bo co wiezie? Słomę ty'ko. gdzie ziarna trochę u końca. A pomyślcie, co to był za ciężar wtedy, gdy słomy nic, a ziarna od góry do dołu. Nie można się dziwić, że po cztery konie ciągnęły furę. I taka fura to nie mogła obrócić sześć razy na dzień. Snopów tak się nie dało podawać widłami wgórę. Były za ciężkie. Jak się dało przywieźć trzy fury na dzień do stodoły, to było aż za dobrze. A skrzypiały takie fury jak skrzypce, no bo ciężar się wtedy woziło ogromny. A za furami ptaków różnych ciurlutało tysiące. Dziobały ziarna wróble, dziobały kury z kurczętami i Bóg ich tam raczy wiedzieć, jakie inne ptaki, a choć dziobały ledwie się zrobiło szaro do samego wieczora, to na drodze tyle jeszcze było ziarna, że dziś nawet przy siewie ty'e się nie rzuca.

Paniezus z Matką Boską pracowali na swojem zarówno ze wszystkimi. Jak się na wschodzie robiło czerwonawe niebo, ptaszki pukały do okna Paniezusa dzióbkami i wtedy Paniezus wstawał. Choć to lato, zimno było jeszcze tak rano i rosa wszędzie mokra, ale Paniezus nie patrzał na to. Boso, w długiej lnianej sukni, którą Matka Boska utkała swemi świętemi rękami, szedł do pracy i pracował, a ludzie mając taki przykład piękny, robili to samo, bo nie chcieli zasmucać Paniezusa.

Dobrze było mieć za sąsiada Paniezusa. Zawsze to człowiek wiedział, jak postępować, żeby Boga nie obrazić. A o obrazę było łatwo. Bo to rzecz wiadoma, jak człowiek ma zadobrze, to choćby był najlepszy,



Szkoła włoska *Zwiastowanie*

odrazu się psuje. Odrazu mu w głowie łajdactwa. Albo to nie dlatego, że jeden chłop miał zadużo zboża, djabeł nauczył go robić wódkę i tyle z tego poszło zła. No bo już nie wiedzieli ludzie, co robić ze zbożem. Zjeść to się nijak nie dało wszystkiego. I świńmi też się spaść nie dało. A znowu niewszyscy widzieli, co robi Paniezus. A Paniezus robił tak, że jak nadeszła zima i śnieg już leżał grubo jak pierzyna, w jednem takiem miejscu na desce sypał codziennie ziarno, żeby te ptaszki wierne, co na zimę na Podlasiu zostały, z głodu nie pozdychały i żeby mogły znowu doczekać zielonej wiosny. Ale to widzieli tylko najbliżsi sąsiedzi Paniezusa, bo tam znowu nie chciało się tak bardzo ludziom chodzić patrzyć, co Paniezus robi. Zawsze to w mróz woleli w domu przy piecu się grzać.

Zato chodził po ludziach Paniezus. Aż podziwienie brało patrzyć. W największy mróz szedł po śniegu boso i w tej samej lnianej sukni co w lecie. Niby prawda, Syn Boży, to nie to, co każdy człowiek, ale musiało być Paniezusowi zimno okropnie, bo jednak miał na ciele gęsią skórkę i znać było, jak drży. A Paniezus chodził, żeby ludzi pouczać, jak żyć mają i co robić, jeśli chcą sobie na niebo zasłużyć. W zimie ludzie mają więcej czasu, to i chętniej takich nauk słuchają. Paniezus też tak robił, żeby ludziom w pracy nie przeszkadzać. A jak kobiety len przędły, to nawet lepiej im robota szła. Bywał Paniezus wszędzie. Dochodził do Stoczka, i pod Okrzeję, i pod Łuków, i koło Siedlec nawet, pod Zbuczyn. Ale nigdzie takich rzeczy nie zobaczył jak w Zakrzywku. Przechodzi tam Paniezus, wchodzi do jakiejś chałupy, a tam gospodarz już siwy nabiera na szuflę ze skrzyni zboża i buch do rozpalonego pieca chlebowego.

Złapał go Paniezus za rękę:

— Co robisz, synu marnotrawny?

— Palę zboże, bo mi niepotrzebne. Do nowego mi starczy, a reszta poco mi? Odmierzyłem dobrze, ile potrzeba. Na przyszły rok znowu tyle będę miał. I poco? Nikt zboża kupować nie chce, a jak kupuje, to płaci tak marnie. Obejdę ja się bez tych pieniędzy.

I zaczął się gospodarz śmiać, jakby go złe opętało.

Przeczekał chwilę Paniezus, a potem rzekł z boleścią wielką:

— To ja poto wyprosiłem u Ojca mego w niebiesiech łaskę urodzaju dla ziemi podlaskiej, ażebyście wy tak marnowali dary Boże? To tylko poto jest urodzaj, ażebyście mogli więcej zarobić? Oj ludzie, ludzie wyrodni! A czy pomyśleliście, że poto daję urodzaj, żebyście mogli z nadmiaru dać coś tym ptakom niebieskim, które nie sieją, nie orzą, ale są wam pomocą przed robactwem, któreby wyniszczyło wasze pola i sady? A czy pomyśleliście, że może za siódmą górą, za siódmą rzeką są kraje, które mrą z głodu, bo własnego zboża nie mają, a waszego kupić nie mają za co?

A gospodarz wstał, rzucił szuflą o ziemię i ordynarnie zawołał:

— A co mnie to obchodzi. Ja sieję dla siebie, a ptaki i jakieś cygany zza siedmiu gór niech zdechną nawet.

— Za to, że jesteście tacy nieużyci, od dziś zboże wasze będzie bez kłosów, tylko pusta słoma!

— Synu mój! — zawołała Matka Boska, ze snopa, który stał w kącie od Bożego Narodzenia, chwytając jeden kłos — zostaw tyle dla wróbli i kurcząt. I objęła dłonią górny koniec kłosa.

Od tego czasu niema już na Podlasiu kłosów od góry do ziemi, zboże nie jest jak dawniej takie wysokie jak człowiek, kłos został tylko taki jak szeroka dłoń ludzka. Matka Boska uprosiła tyle u swego Syna dla ptaków, ale kiedy na Podlasiu zrobił się głód i ludzie zjedli wszystko, co mieli z lat urodzaju, musieli zacząć jeść to zboże, co zostało dla ptaków. Nie było to zboże najlepsze, bo najlepsze ziarna były w środku, ale z biedy musieli zostać przy takiem.

Kara za nieużytość nie skończyła się na tem. Dawniej, żeby mieć ziarno, wystarczyło dobrze potrząsnąć snopem i wszystko doczysta wyleciało, dlatego zwożono do stodoły snopy jeszcze świeże; teraz muszą ludzie walić cepami a walić, no bo jak tu zostawiać ziarno, kiedy i tak go niewiele z kłosa. Że też wtedy ludzie byli tacy głupi! Gdyby nie ich głupota, nie byłoby teraz tyle biedy na świecie. **Józef Marjan Chudek.**

POLACY W ŚWIECIE

Zjazd Polaków z zagranicy odbyty w pierwszych dniach sierpnia, dał sposobność bliższego wglądnięcia zarówno w życie naszych emigrantów na obcych rubieżach, jak i przyjrzenia się naszym rodakom z poza granic, życiu wewnętrznemu kraju.

Pierwszą rzeczą, która musiała uderzyć każdego kto obserwował przybyszów, był niekłamany wyraz ich przywiązania i miłości do starego kraju, nawet wtedy dającej znać o sobie, gdy mówili, że są właściwie tylko obywatelami takiego lub innego państwa polskiego pochodzenia.

Byliśmy jednak świadkami rozczulających wprost dowodów miłości ojczyzny. Czyż można było bez łez patrzeć na tych przybyszów z Warmji, co po przybyciu na warszawski dworzec, padali na kolana i całowali z okrzykiem radości polską ziemię, czyż można wspominać bez podziwu tych Polaków z Niemiec, którzy już na granicy Rzeszy zaczęli śpiewać polskie pieśni, nic sobie nie robiąc z gróźb i zaciśniętych pruskich pięści.

Na zjeździe wśród tej wielotysięcznej rzeszy zamanifestowała się też wyraźnie jedna rzecz, głębokie przywiązanie polskiej emigracji do Kościoła. Niestety, program zjazdu, zapewne wskutek niedopatrzenia z powołanej do tego katolickiej strony, na szarym końcu uwzględniał manifestacje religijno-kościelne. Wyjazd do Częstochowy odbył się np. w chwili, gdy z kilkunastu tysięcy przybyłych, zostało ledwie paręset osób, dokładnie stopięćdziesiąt. Nic dziwnego, że starannie wydana na ten zjazd jednodniówka poprostu nie doszła rąk, dla których była przeznaczona Gdyby zaś pojawiła się o dziesięć dni wcześniej...

Pozatem razporaz wytwarzały się sytuacje, wymagające wobec braku odpowiednich „punktów w programie” doraźnej a przytomnej inspiracji. Więc gdy pan marszałek Raczkiewicz na Wawelu nakreślił wobec naszych gości obraz historji Polski politycznej i kulturalnej, chwila prosiła wprost o to, by ktoś szczęśliwie natchniony spośród kleru dopełnił tej pięknej mowy i tego nastroju, wskazując na katedrę i wspominając, że w jej murach dzwonią echa modłów królów i wielmożów polskich, że na stopniach są ślady stóp Jadwigi świętej królowej, a w podziemiach spoczywają ciała Sobieskiego, Poniatowskiego, Mickiewicza, słowem, że Kościół katolicki jest związany najgłębiej z Polską, co tu na tej niewielkiej przestrzeni w sposób symboliczny w takiej bliskości się wyraża. Tak powinien ktoś powiedzieć... Niestety nie zdarzyło się to.

Przechodząc teraz do zetknięć się z naszymi rodakami, musimy zanotować szereg ciekawych spostrzeżeń co do warunków życia na obczyźnie. A więc np. w takiej Francji Polakom właściwie źle się dzieje. Mówi o tem wyraźnie ks. dr. Cegiełka w swej z temperamentem urodzonego pisarza skreślonej książce p. t. „Szlakiem tułaczy”.

Gdy pierwsze grupy Polaków stanęły na ziemi francuskiej, spotkało ich małe rozczarowanie. Gdzie to, co im przyrzekano? Mieli zastać gotowe mieszkania, a tu pomieszczono ich wszystkich razem w ciasnych, brudnych i niewygodnych barakach. Przewóz personalny i mebli miał być bezpłatny, a tu przy najbliższej wypłacie potrącono im wszystko. Gdyby tylko to. Ale Polacy znaleźli się w niemiłej sytuacji, bo wszystko było tu dla nich obce. W Westfalji czuli się się więcej u siebie. Tutaj nie znali języka, brakowało im polskiego księdza, nauczyciela i t. d. Czuli się jak na wygnaniu.

Powoli dopiero zjawiła się jakaś opieka najpierw konsularna, potem kulturalna, kościelna. Przybyli pierwsi księża.

Ogółem jest około 60 księży polskich, zajętych pracą duszpasterską wśród polskich emigrantów we Francji. Jest to mała garstka na tak liczne masy Polaków, jakie się tam znajdują. Toteż wielu, bardzo wielu rodaków jest pozbawionych zupełnie opieki duchownej. A rezultat tego nadzwyczaj opłakany. Polacy bowiem pozbawieni opieki kapłana polskiego, obojętnieją dla wiary i stają się podatnym gruntem dla propagandy komunistycznej.

Rola księdza polskiego na emigracji jest bardzo trudna, już choćby dlatego, że nigdzie nie ma pełnych praw proboszczowskich. W swej pracy duszpasterskiej zależnym jest od księdza francuskiego, który nie rozumiejąc potrzeby obecności księdza polskiego we Francji, bardzo często utrudnia mu pracę. A potem, na barkach księdza polskiego, spoczywa bardzo dużo obowiązków. Jest on dla swych rodaków formalnie wszystkiem.

Lecz w trudnych warunkach nie może wszystkiemu podołać.

Na tę swą dolę i niedolę skarżą się więc Polacy.

Piotr Franusiewicz wypowiedział w słowach prostych i przejmujących krzyk duszy polskiego tułacza na francuskiej ziemi.

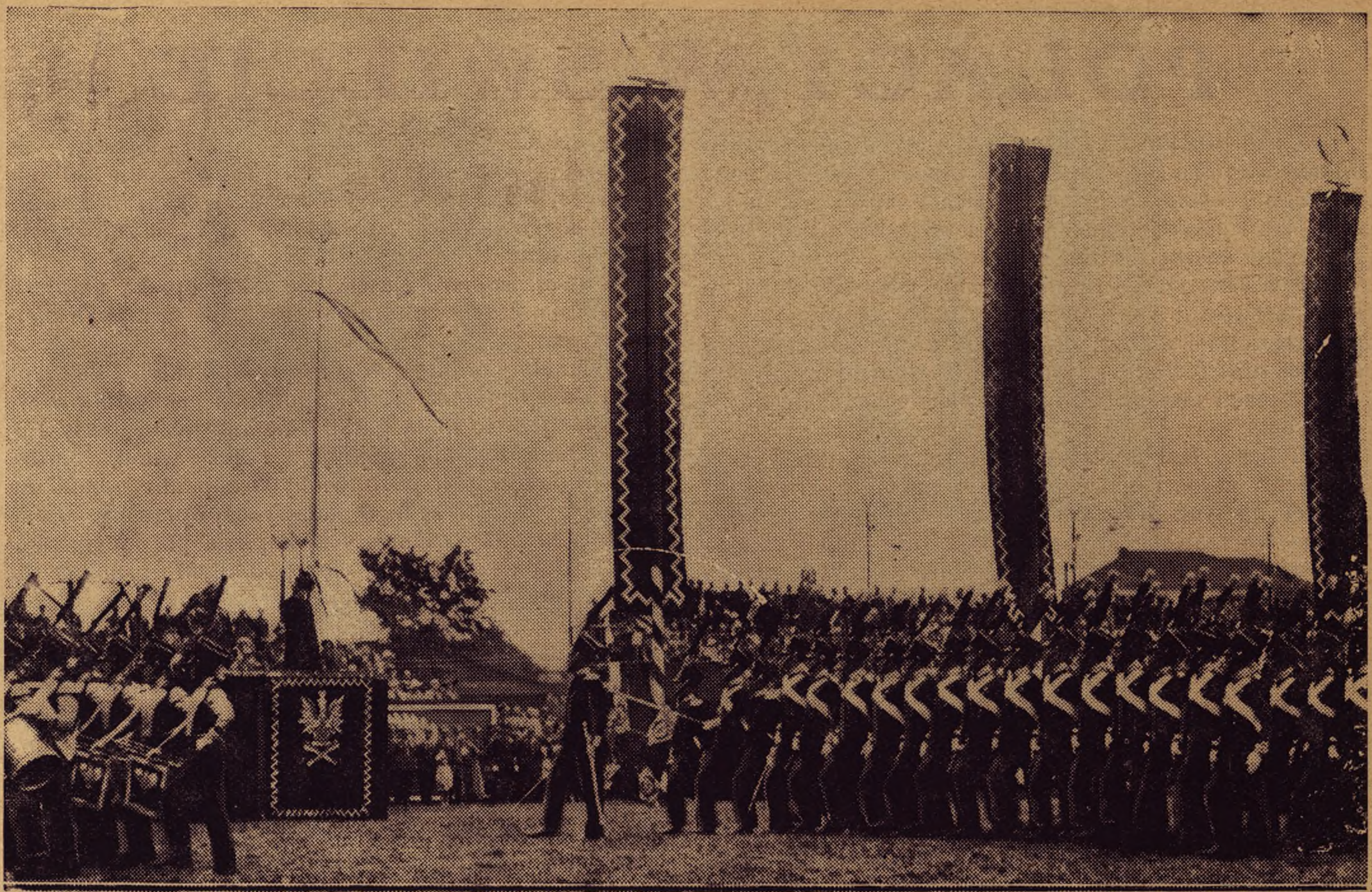
W głębiach kopalni, w ziemi francuskiej
Jam biedny tułacz zajęty pracą,
A myśli moje wraz z moim duchem —
W górę się w szybie kołaczą...
I myślę nieraz nad dolą swoją,
I wszystkich polskich tułaczy,
Co w głębi ziemi — tu — na obczyźnie —
Padają trupem przy pracy!...

Setki lat temu polscy pieśniarze
O losie Polski pisali
I za tę prawdę, którą głosili
Też tułaczami zostali...
Dziś w każdym kraju, po całym świecie —
Męczą się polscy tułacze:
Kto to zrozumie, z jakiej przyczyny —
Ten łatwo z bólu zapłacze.

Przecież Ojczyzna nasza bogata,
Bo wszystkie skarby posiada.
Czemuż robotnik przy pracy swojej,
A rolnik przy pługu — — biada!? — —
Robotnik pracą kraj swój podnosi,
Rolnik przysparza plonów:
Dlaczego za to jeden i drugi
Wlecze złą dolę tułaczą?!

Przerzućmy się teraz w inną stronę świata, gdzie również spotkamy sporo Polaków, do Ameryki południowej, do Argentyny i Brazylji.

Z niektórymi przedstawicielami kolonij polskich w tych stronach mieliśmy możność się zetknąć w czasie zjazdu.



Defilada podchorążych w strojach historycznych podczas II Zjazdu Polaków z Zagranicy

— Jak przedstawiają się stosunki w kolonji polskiej w Argentynie? — pytamy jednego z delegatów — p. Pyzka.

— Niema nigdzie tak biednej kolonji polskiej, jak nasza. — Wśród naszych wychodźców jest bardzo mało osób uświadomionych narodowo. Tylko nieliczna garstka pracuje społecznie. Dotychczas nie wszyscy Polacy przyznawali się do polskości. Naprzykład znana śpiewaczka polska Adelina Korytko, kiedy występowała w Buenos Aires, podawała się za „von Korytko". Lot. mjr. Skarżyńskiego był nadzwyczajną propagandą dla Polski. On bowiem przypomniał wielu emigrantom o istnieniu ojczyzny.

Polacy zasłużyli się w dziejach Argentyny. Pułkownik Wysocki był dyrektorem 1-szej szkoły wojskowej, Robert Chodaskiewicz doszedł do stopnia pułkownika, był inżynierem wojskowym i położył zasługi podczas wojny Argentyny z Paragwajem. Odznaczył się również w tej wojnie generał Iwanowski. Ku jego czci jedną ze stacyj kolejowych nazwano stacją generała Iwanowskiego. Wdał się on w politykę wewnętrzną Argentyny i został zasztyletowany. Inż. Rechniewicz po pracy na Madagaskarze przybył do Argentyny i tu położył olbrzymie zasługi przy tworzeniu kolejnictwa. Inż. Celiński odznaczył się w dziedzinie robót publicznych.

— A czy są Polacy w rządowej służbie argentyńskiej. — Bardzo wielu. Ja, naprzykład, jestem kierownikiem warsztatów i laboratorjum w dyrekcji meteorologji w Buenos Aires — odpowiada p. Pyzek. — Przyjechałem do Warszawy m. in. w urzędowej misji do P. I. M. W parlamencie argentyńskim przyjęto ustawę o reorganizacji służby meteorologicznej.

Oparta ona będzie na tych samych zasadach co P. I. M. Oprócz mnie w służbie państwowej są m. in. inż. Wysztelewski, który jest szefem sekcji statystyki na kolejach państwowych oraz inż. Dąbrowski, który pracuje w zarządzie miasta Buenos Aires. Na kolejach mamy kilkunastu polskich inżynierów w poszczególnych prowincjach.

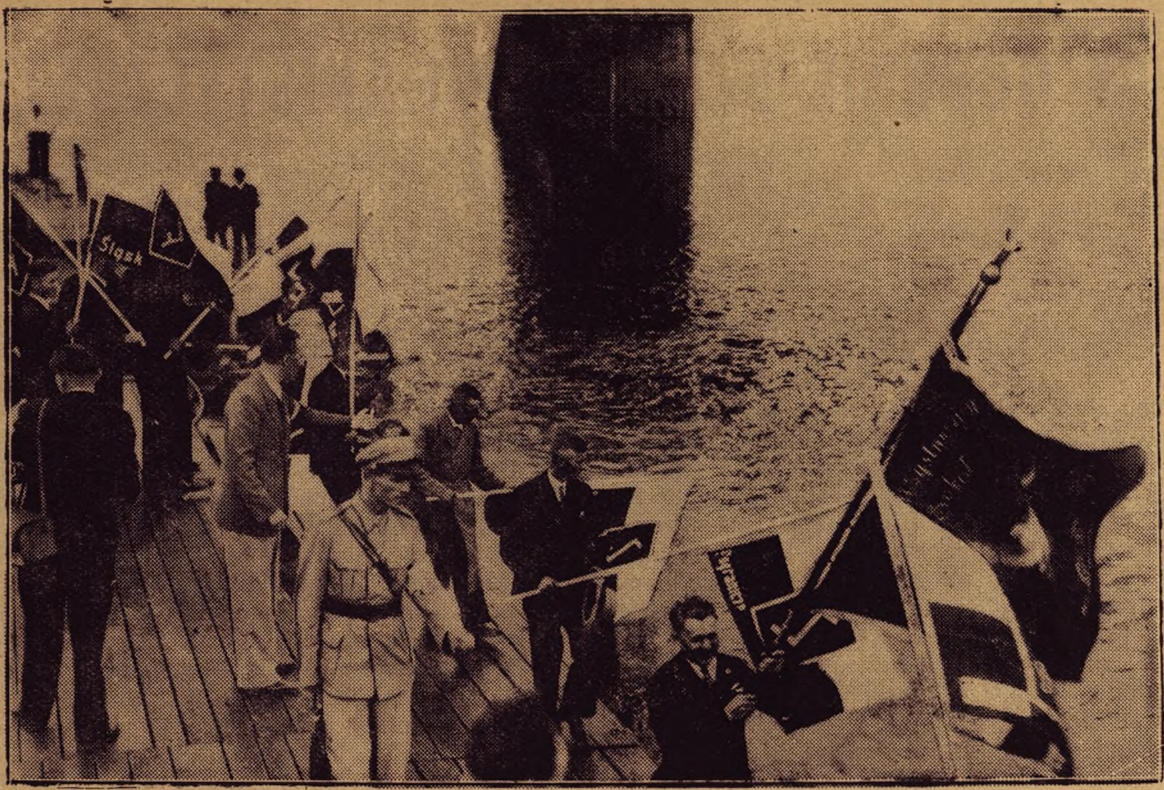
Dodać muszę, że najpiękniejszy park publiczny w Buenos Aires t. zw. Palermo powstał dzięki Polakom. Była to dawniej posiadłość tyrana Rosasa. Skonfiskował ją rząd i przeznaczył na park. Plan parku opracowali i wcielili w życie polscy emigranci, których przywiózł ze sobą z Ameryki Północnej prezydent Sarmiento, były poseł Argentyny w Stanach Zjednoczonych.

Nie brak też Polaków w Brazylji, nieraz ożywionych szlachetną miłością ojczyzny.

Brazyljanin, Wojciech Breowicz z Teresiny-Ivai tak opiewa swą tęsknotę za krajem:

Polsko moja daleka — Ojczyzno ma święta,
Jak sen złoty w mem sercu w kołysce zrodzona —
Żywicą sosen tchnącą, pięknem niepojęta,
Pługami i kosami dzwoniąca w zagonach —
Brzmiąca płaczem ligawek i ptaszęcym gwarem:
Czemu duszę mą smutną po'sz tęsknot żarem — ?

Polsko moja kochana! Przez Twoje mogiły,
W których kości mych Ojców śpią snem wiekuistym —
I przez serca tych ludzi, które dla mnie biły
Czuciem bratniem, gdym deptał Twój grunt — grunt ojczysty
Czy ja o Tobie kiedyś — przed zgonem — zapomnę,
Czy wizję Twą mi zatrą te morza ogromne — ?



Symboliczne zanurzanie w Wiśle sztandarów przywiezionych na II Zjazd Polaków z Zagranicy

Skowronki nam nie dzwonią, słowik nie zakwili,
Kukułka, bocian, wróbel — ni jaskółka szara...
— Piękniejsze są Twe niwy od cudów Brazylji,
Cudniejsze Twoje lasy, gdy w rannych oparach
Mgły, dzwonią pieśnią ptaków na chwałę tych ludzi,
Których zorza do pługa i do kosy budzi...

Sosny polskie ładniejsze od sławnych pinjorów,
Płaczące wierzby wolę od tych palm olbrzymich —
Gaj brzozowy mi więcej drogi od tych borów,
A jałowiec na wzgórku, gdy z wietrzykiem dymi
Srebrnym pyłkiem — to cuda ojczystej natury,
Których nam nie zastąpią brazylijskie góry!

Nawet skromna stokrótka, co w przydrożnym pyle
Stoi smutna, bez dziki, co na płocie kwitnie,
Nawet te kartoflane, jesienne badyle,
Czy te na kalenicach szare snopki żytnie,
Wieczorne żeńców pieśni, wołania pastusze —
To cuda, za któremi płaczą nasze dusze...

A dęby te odwieczne, co szumią na wzgórzach,
— Mój dąb został nad zdrojem o srebrzystych wodach —
I te lipy kwitnące na wiejskich podwórzach,
Dojrzały sad przy chacie... Lecz marzyć dziś szkoda
O tych cudach przyrody ojczystej... w rozterce,
Płacz i tęsknij za Polską serce — serce — serce!

„Zagranicznym” pisarzem ludowym, który, powiedzmy bez przesady, „odnalazł” się dla literatury, dzięki powstaniu organu literackiego ludowych pisarzy p. t. „Wieś i jej pieśń” — jest Władysław Wójcik (pseudonim autorski — Władywój). Jestto chłop-emigrant, były legjonista i żołnierz armji polskiej, zamieszkały obecnie na obczyźnie w Brazylji, w miejscowości Teresinie-Ivai. Autor pochodzi z Podkarpacia w środkowej Małopolsce i posiada już za sobą wcale pokaźny i godny uwagi dorobek literacki. Osiągnął go przedewszystkiem na obczyźnie w chwilach wolnych od tego ociekającego potem trudu życiowego, od którego nie jest wolny żaden emigrant, którego wchłonęła i wprzęgła w kierat mozolnej pracy tajemnicza i oporna puszcza brazylijska. Ale nie trzeba przypuszczać, że ten chłop czas wolny od pracy znojnej około zdobycia chleba dla siebie i rodziny poświęca tylko miłemu trudowi tworzenia rzeczy pięknych. Pracuje ponadto na gruncie społeczno-oświatowym. Jakież to zatem godne zastanowienia się nad potęgą ukrytej energji chłopskiej:

Chłop-emigrant, który w kraju strawiwszy większą część żywota w służbie Ojczyzny — wówczas — kiedyto jeszcze nie było w Polsce innych „krzyżów”, jak tylko te, które stały na grobach poległych, teraz na obcej ziemi — w Brazylji, dokąd pognała go z Polski bezlitosna bieda chłopska, oddaje się z całem poświęceniem roli uświadamiania, kształcenia i wychowania chłopów-emigrantów. Pracuje społecznie i oświatowo z zaparciem się, bo świadomość tego faktu, że „najstraszniejszy wróg Polski — to ciemnota, — gdy jej się pozbędziemy, naszej potędze w narodzie nikt nie sprosta”, głęboko wryła mu się w mózg i serce.

Wójcika ożywia głęboka wiara w celowość pracy społecznej dla Polski przyszłej, bo „ziemia polska świętą jest, jako owa chusta Chrystusowa, w którą wsiąknęła krew męczennicza nie dla prywaty i frymarki uprzywilejowanych haseł, lecz dla najwznioślejszego z ideałów — Wolności Ludów”.

Oto maleńkie pokłosie zjazdu, który stanowi piękną datę w naszem polskiem życiu w jego skali światowej. Organizatorom tego zjazdu należy się szczera wdzięczność za to, że dokonali tego zjednoczenia Polski w świecie, że pokazali zasięgi nasze na pięciu kontynentach, że położyli trwałe fundamenty pod wielką przyszłość Polski w skali ogólnoświatowej.

W OBRONIE SZKOŁY HUMANISTYCZNEJ

Przed kilku laty rozpoczęła się w Niemczech walka o utrzymanie w szkolnictwie średniem typu gimnazjum humanistycznego. Ataki na szkołę humanistyczną datują się w Niemczech już od dziesiątków lat. Wogóle kwestja reformy szkolnej jest oddawna już jednym z najpopularniejszych tematów, wkroczyła nietylko na łamy prasy codziennej, ale i do literatury pięknej [1]). Znana jest i w Warszawie, (wyst. poraz pierwszy w r. 1905 w „Rozmaitościach") sztuka „Flaschman als Erzieher". Cieszył się też w ojczyźnie Göthego wielkiem powodzeniem utwór Jeschkego i Holza „Trumulus", rozgrywający się w środowisku gimnazjum, głośne echa przed laty budził „Der Privatkandidat" oraz komedja Birnbauma „Das Cenacle der Maulesel" — Jadalnia mułów — Rzecz słaba, ale publiczność z zapałem oklaskuje scenę, w której maturzysta Stilpe tak mówi do profesora: „Męczyłeś, mnie pan, prześladowałeś, wyzywałeś od osłów, dręczyłeś nieregularnemi czasownikami. Homera, Horacego, Tybulla i Katula całą starożytność wogóle obmierziłeś mi słowami, które rządzą genitivem lub innemi podłemi przypadkami! Pańska bezbożna surowość i jałowość uczyniła z promiennej Afrodyty angielską guwernantkę z niebieskiemi okularami i shockingiem. Z Alcybjadesa zrobiłeś feldfebla, z Platona nauczyciela gimnazjalnego, a z Odyssei zbiór paradyzmów jońskiego dialektu! Krótko mówiąc — z całej złotej Hellady uczyniłeś pan — Królestwo Saskie. Klatkę, w której dręczyliśmy się beznadziejnie — nazywasz pan gimnazjum! Gimnazjum — piękne, bardzo piękne istotnie, ale zhańbione i przekręcone! Z takiem samem prawem mógłbyś się pan nazwać Apollinem belwederskim!"

W równie pełnych żółci zwrotach charakteryzuje szkołę niemiecką, zwłaszcza humanistyczną jeden z wybitnych przed laty 40 publicystów p. Karol Eug. Schmidt, na łamach „Frankfurter Ztg.". Pisząc o swych latach szkolnych z goryczą, że nie siedział wprawdzie w więzieniu, że nie brano go nigdy na tortury, że unikał nawet szczęśliwie pobytu w koszarach, ale że w jego pojmowaniu gimnazjum współczesne przedstawia wszystkie pojęcia łączące się z kryminałem, torturami i koszarami... Znaleźć nie mogę — powiada Schmidt — wyrazu dość silnego, by napiętnować te narzędzia umęczenia umysłów młodzieży. „Rzuca następnie oskarżenie, że nie nauczył się zgoła niczego, czego później nie zapomniał, co nie było marnem nieprzydatnem śmieciem. Schmidt nie skończył gimnazjum, ale przebył w niem lat siedem i tak określa wynik nauk: Siedem lat uczyłem się łaciny, codzień conajmniej godzinę, a nie umiem wiele więcej łaciny od mej kucharki. Cztery lata męczyłem się na greczyzną i nie zrozumiałbym jednego zdania greckiego, pięć lat uczyłem się francuskiego i trzeba było podróży do Francji, by przekonać się, że nie umiem porozumieć się z nikim.

Autor godzi się z tem — i to jest punktem saliens całego zagadnienia — że większość nauk szkolnych nie przedstawia żadnych praktycznych korzyści. Nie jest to bynajmniej zadaniem gimnazjum. „Z praktycznego punktu widzenia nie zapewnia też żadnych korzyści czytanie „Tristana i Izoldy" albo „Don Kiszota", czy oglądanie kaplicy Sykstyńskiej lub słuchanie Dziewiątej Symfonji. Skoro jednak gimnazjum, nie dawszy żadnej praktycznej wiedzy, obrzydziło jednocześnie wszystkie te piękne rzeczy, miast obudzić do nich zapał i chęć głębszych studjów — tego darować mu nie można". Zapewne Schmidt nie jest tu wyjątkiem. Te same uczucia żywi większość wychowańców szkół. Z rzeczy najwyższej nauka gimnazjalna czyni martwy przedmiot. Najwspanialsze, najpoetyczniejsze zdanie w Homerze stanowi jedynie pozór do szukania podmiotu i orzeczenia, do odmieniania czasowników nieregularnych, słowem do sypania pyłu wprost zabójczego na żywe, pachnące kwiaty. Historja powszechna budzi obrzydzenie, gdyż składa się wyłącznie z liczb. Geografja to stek nazw krajów, rzek i gór, straszliwe mrowisko liczb mieszkańców, kilometrów obszaru i metrów wysokości. Słowem wszelka wiedza w murach gimnazjum zmienia się w rzecz martwą. Gimnazjum to istne krematorjum, w którem spopiela się nietylko naukowy zapał młodzieży, ale również morduje samą wiedzę. Wiedza — woła Schmidt — to, mówię ja, były czwartoklasista, to rzecz żywa, a nie żywy trup. Czyż nie można tak uczyć, by godziny lekcyj miast wlec się jak tygodnie i miesiące, mknęły jak minuty i sekundy. „Zaiste nauka gimnazjalna jest nietylko bezużyteczna, ale wprost szkodliwa: Zapycha ona nam głowy rzeczami niepożytecznemi. Nie chodzi tu zresztą o życie praktyczne. Wiadomości nabytych w szkole zużyć najczęściej nie można do dalszego wykształcenia, nie wykształcenia gimnazjalnego, lecz wykształcenia prawdziwego, które zdobyć sobie musimy sami, ponieważ nie daje nam go szkoła".

Co do mnie, mówi Schmidt, to ze wszystkich lat ubiegłych i straconych żałuję najbardziej i najboleśniej siedmiu lat gimnazjalnych. Uważam je nietylko za stracone, ale wprost za szkodliwie oddziałujące na całą mą przyszłość. Dzisiaj jeszcze tkwią w mym mózgu masy pyłu i pajęczyny, które wtłoczyło mi do głowy gimnazjum. Im mniej nauczyliśmy się w gimnazjum, tem więcej mamy widoków zdobycia sobie prawdziwego wykształcenia" kończy swe surowe uwagi publicysta niemiecki.

I jakkolwiek dziś reforma szkolnictwa dokonywana pod znakiem najrozmaitszych haseł, jak szkoła twórcza, szkoła pracy, indywidualizacja uczącej się młodzieży — wiele zła już usunęła, to jednak nad szkolnictwem tkwi jeszcze zasadnicze zło w postaci atomizowania wszelkiej wiedzy, zabijania jej żywotnych wartości pod skalpelem drobiazgowej analizy. Oczywiście te wszystkie niedomagania nie godzą zasadniczo w samą zasadę humanistycznego nauczania, domagają się jedynie korektury metod szkolnych.

Zapewne też jedynie o ducha kultury humanistycznej chodziło tym kołom niemieckiej inteligencji, które z ks. dr. Deitmerem, bisk, sufr. Berlina, oraz księdzem bisk. Schreiberem, działaczem centrowym, wystąpiły w r. 1926 w obronie humanistycznego typu szkoły.

[1]) Por. „Kurjer Warszawski" z 9 listopada 1905 r.

Wydana przez nich odezwa głosi: „Wykształcenie humanistyczne jest jedynym z największych kulturalnych dobrodziejstw niemieckiego społeczeństwa. Jego ideał może być osiągnięty jedynie przez gruntowne zapoznanie młodzieży z językiem i kulturą Greków i Rzymian (ba, ale jakiemi metodami, żeby nie zabić przy nauce gramatyki i składni ducha tej kultury, a co zatem idzie nie pozbawić całego nauczania sensu i celu?) Wskazując na utrwalenie wszędzie zagranicą humanistycznego typu nauczania, domagamy się usunięcia wszelkich tych zarządzeń, które zagrażają ustaleniu istnienia gimnazjum humanistycznego i żądamy najwydatniejszego poparcia dla tego typu wykształcenia oraz dalszego celowego jego rozszerzania. Usunąć z życia szkołę humanistyczną, to znaczy zniweczyć te dobrodziejstwa kultury, którym duch narodu zawdzięcza swe światowe znaczenie. Wrogowie gimnazjum humanistycznego zacieśniają horyzonty myśli młodzieży w dziedzinie polityki, historji, literatury, sztuki i filozofji, odbierają doświadczonym kierownikom społeczeństwa zdolność dostrzegania i wskazywania związku teraźniejszości z przeszłością".

Zgoda na to, z tem zastrzeżeniem, że zła szkoła humanistyczna może wszczepić jeśli nie nienawiść, to conajmniej obojętność dla humanizmu.

Zagadnienie utrzymania typu humanistycznego szkoły jest i u nas aktualne. W kraju, który wyrósł i osiągnął swój rozkwit polityczny i kulturalny dzięki kulturze rzymsko-katolickiej, sprawa utrzymania jej ciągłości i tradycji, to jedno z podstawowych zagadnień. Tem bardziej więc musimy poddać gruntownemu rozważeniu całe zagadnienie szkoły humanistycznej i jej roli w nowoczesnych warunkach. Gorącym jej zwolennikiem jest u nas światowej sławy uczony prof. Tadeusz Zieliński.

Walka z humanistycznem wykształceniem jest wynikiem przemian kulturalnych XIX wieku. Pozytywizm i materjalizm głosiły, że szczyt rozwoju kulturalnego osiągnie ludzkość dzięki postępowi wiedzy przyrodniczej i techniki. Nadzieje i przewidywania okazały się złudne. Zlekceważenie potrzeb ducha ludzkiego i jego uprawy okazało się fatalne.

Dziś więc, mimo całego postępu technicznego, świat przeżywa olbrzymi kryzys społeczno-gospodarczy, który w głębszem ujęciu jest właściwie kryzysem kultury i moralności. Wybujały rozwój techniki nowoczesnej, gospodarka kapitalistyczno-socjalistyczna i imperjalistyczna polityka doprowadziły do zupełnego rozprzężenia świata. Nadmiar produkcji z jednej strony, pauperyzacja miljonowych rzesz z drugiej i brak między tem wszelkiego łącznika, któryby doprowadził do wyrównania i związania w harmonijną całość życie ludzkości. — Oto rzeczywistość.

Technika okazała się wrogiem ludzkości — ponieważ człowiek jest człowiekowi wilkiem. Nie jest to zatem wina techniki jako takiej, lecz skutek załamania się humanizmu.

Humanizm i wypływający zeń humanitaryzm i solidaryzm zostały wyrugowane przez wyrosłe na podłożu materjalizmu filozoficznego hasła walki klas i narodów. W szerszych perspektywach biorąc, wojna europejska była starciem się humanitaryzmu uniwersalistycznego z materjalizmem partykularnych interesów klasowych i państwowych.

To też nic dziwnego, że umysły głębszych polityków szukają wyjścia z tej katastrofalnej sytuacji, w którą zabrnął świat, w zasadniczej przebudowie systemu wychowania, w zabezpieczeniu podstaw ideowych życia widząc najpewniejszą gwarancję naprawy politycznej. Ciasno pojęty interes państwowy czy klasowy jako podstawa wychowania zdyskredytował się do szczętu. Monopol szkolny państwa stał się jednym z czynników jego klęski, klęski idei państwowej wogóle.

Znany polityk centrowy dr. Schauer wygłosił na uniwersytecie berlińskim odczyt o wpływie szkoły prywatnej na oświatę i przeciwstawił się monopolowi szkolnemu państwa.

Przez monopol nauczania pragnie państwo wychować sobie bezwolne narzędzia swej polityki. Jest to środek zawodny — jak to wykazała ostatnia wojna z jej defetyzmem i upadkiem ducha, który przedewszystkiem odczuły Niemcy (słynny Hintersztos z ręki komunizmu). Biorąc zresztą nawet szerszy interes oświaty i tu również monopol państwowy prowadzi do utraty łączności ze szkołą wskutek wywołanej szablonem i dyscypliną nieufności wśród młodzieży.

Gdy niema monopolu, oświata stoi wyżej, wytwarza się bowiem w szkolnictwie zdrowa konkurencja, stanowiąca źródło prawdziwego postępu. Mówi o tem wyraźnie historja pedagogji, z takiemi postaciami, jak Pestalozzi na czele. Działalność szkolnictwa prywatnego jest wynikiem pobudek więcej idealnych, wyrazem twórczych dążeń ideowych. Zmonopolizowanie szkolnictwa czyni ze szkoły fabrykę, z nauczyciela wyrobnika pracującego li tylko dla grosza. Oczywiście państwo ma prawo i obowiązek pewnej kontroli nauczania, lecz jest to dalekie od wyłączności w tej dziedzinie.

Uwagi powyższe są nad wyraz słuszne. Również i u nas obserwujemy ujemne skutki etatyzacji szkolnictwa, a co szczególnie jest bolesne, fatalne wprost obniżenie się poziomu ideowego nauczycielstwa.

Niezdrowa atmosfera naszych czasów, przesiąknięta hasłami klasowemi, traktująca wszelki wysiłek ludzki jako przejaw i zagadnienie zawodowe, ujęte w płaszczyźnie rozgrywki o zwyżkę zarobków — odbija się ujemnie na psychice nauczycielstwa. W chwili, gdy namiętnie dyskutuje się nowy ideał wychowawczy „obywatela pracownika-bojownika", poczyna znikać typ tego pracownika-bojownika w szeregach samego nauczycielstwa. Cała więc kwestja gotowa zawisnąć w próżni. Bo ideowych obywateli nie wytwarza się sztandarowo i maszynowo, bez udziału ideowego nauczycielstwa.

Wysuwać się zaczyna natomiast typ nauczyciela-„fachowca", który z pedanterją godną podziwu odrabia z uczniami lekcje, bacząc, by ani o sekundę nie trwała dłużej, a potem nic go już więcej nie obchodzi. Obserwuje się to zwłaszcza wśród guwernerów, którzy żyjąc w rodzinie swych chlebodawców, jak najchętniej ograniczają się obecnie do roli sublokatorów.

Zdobycze socjalne zawodu nauczycielskiego, broniące przed rzekomym wyzyskiem opancerzyły serca nauczycielstwa tak, że stały się one zbędnym rekwizytem. A pedagog bez serca, odrabiający mechanicznie z chronometrem w ręku swą „pracę", to już nietylko groteska, to prawie wróg społeczeństwa.

DON JOSE ST. NOARRO. 20)

ZDOBYWCA AFRYKI

— Nie bądź nudny. Żona niekoniecznie ma o tem wiedzieć. Zresztą najlepszem lekarstwem na zdradę żony — jest zdradzić żonę.

— Ależ nic nie wiem o jej zdradzie!

— Mój drogi, z tą naiwną wyrozumiałością bardzo ci nie do twarzy. Może oczekujesz rejentalnego zawiadomienia, że to jest fakt dokonany. Mój ty poczciwcze.

— Oh, to zbyt bolesne.

— Nic innego od ciebie nie słyszę: to bolesne, tamto niedorzeczne, owo przykre. Jeremjaszem tobie być, a nie amfitrjonem. Po męsku trzeba się brać do życia. Nikt się z tobą nie cacka, a ty wciąż się roztkliwiasz, to nad niewierną żoną, to nad nieszczęsnymi murzynami. Tak na nic!

— Właśnie to jest złe, że w życiu ludzie nie mają skrupułów, że nie słuchają sumienia.

— Źle czy dobrze, to sprawa filozofów, a polityk bierze życie jak ono jest. Fikcjami etycznemi nikogo nie przekonasz, a pałka zawsze do rozumu przemawia, gdy na łbie guz wyskoczy.

Stefan mimowoli sięgnął ręką do swej obolałej głowy.

— Och, przepraszam cię. Niestety, i tobie wlepiono argument stwierdzający, że jesteś mazgaj.

— Tak mówisz, jakbyś był samem wyrachowaniem i cynizmem. A przecież poczciwy z ciebie w gruncie rzeczy chłop, skoro usiłujesz mnie za uszy wyciągnąć z tego błota, w które mnie wepchnięto, czy raczej sam wlazłem.

— Właśnie a propos, mam tu plan. Mam w ręku nici, które doprowadzą nas do wykrycia sprawców twego porwania. Zgłosił się do mnie człowiek, który chciałby ci osobiście wyznać kilka ważnych szczegółów, obawia się jednak, czy ci na to pozwoli stan twego zdrowia.

— Niech przyjdzie jutro, zobaczymy, czy rzecz jest poważna.

— Gdyby tak było, można zaaranżować jakiś wielki proces, któryby skompromitował twoich przeciwników?

— Czy to jednak nie złudzenie. przecież sprawa z Pęcherzem nie przyczyniła żadnej korzyści, przeciwnie posłużyła do różnych ataków gadzinowej prasy.

— Rzecz jeszcze nie przesądzona. Są dane, że Pęcherz wyleci z partji. A to już jest sukces.

— Chwilowo kąsają mnie z różnych stron wściekłe psy intrygi.

— Nie przywiązuj do tego wagi. Te pieski mają zęby z gipsu nieszkodliwej złośliwości. A teraz żegnaj i uszy do góry!

Ligęza stanął w progu, nagle odwrócił się i zawołał:

— A strzeż się Judyty!

— Co mówisz? — rzekł doń Stefan, lecz ten nie słuchał i zniknął za drzwiami.

Weszła pielęgniarka:

— Jakaś pani chciałaby się z panem zobaczyć.

— Kto taki?

— Nie powiedziała nazwiska? Ale to jest ta pani, która przynosi panu codzień świeże kwiaty i pyta troskliwie o zdrowie. Przecież pamięta ktoś o panu! — pielęgniarka uśmiechnęła się ciepło i przychylnie.

Na usta Stefana wypełzł jakiś złowieszczy grymas, coś pośredniego między przykrością i zdawkowym wyrazem zadowolenia. Ach czemu niema Marysi? — przemknęło mu błyskawicą przez mózg.

— Proszę, niech wejdzie. — rzekł machinalnie.

We drzwiach ukazała się Sara, milcząca, jakby zakłopotana.

Na twarzy Stefana pojawiło się zdumienie, graniczące z przestrachem.

— Och, bałam się właśnie tego, że mój widok wywoła w panu grozę. Ale niech mi pan wierzy — mówiła Sara — zawsze byłam panu przychylna i nie pozwoliłabym nigdy na zrobienie panu żadnej krzywdy. Strasznie cierpiałam, gdy się dowiedziałam, że pan jest ranny.

— A jednak pani służy tym, którzy mnie krzywdzą, pomijam już tę napaść i gwałt, ale krzywdzą mnie moralnie, a przez to zabijają mnie w mem dziele i szykują zgubę wszystkiemu. Pod walącemi się murami muszę zginąć, biedny oślepły Samson, rycerz skompromitowanej sprawy.

— Panie Stefanie, ja rozumiem to wszystko i o ile możności chciałabym dopomóc.

— Nie chcę od pani żadnej pomocy. Nasze drogi są zupełnie odmienne. To, do czego pani dąży, staje napoprzek moim dążeniom.

— Tylko napozór i zupełnie przypadkowo. Po ostatnich wydarzeniach zrozumiałam, że pana sprawa jest moją sprawą i, o ile tylko mogłam, starałam się przeszkodzić zbrodni, którą miano na panu dokonać.

— Zbrodni — powiada pani — gotowa byłaby pani stwierdzić to przed sądem i zdemaskować zbrodniarzy?

— Czyż nie wystarcza, że panu to mówię, gdyż kocham cię, panie Stefanie.

— Ach, zatem tylko dla swego prywatnego użytku demaskuje pani zbrodniarzy. Więc to był tylko frazes, że moja sprawa jest pani sprawą.

— Nie, to szczera prawda. Lecz nie wymagaj ode mnie zbyt wielkiej ofiary.

— Gdzież jest tu miara wielkości poświęcenia. Pani twierdzi, że gotowa jest dla mnie do bezgranicznych poświęceń — mówił Stefan z goryczą — i zaraz cofa się pani przed konsekwencjami swego oświadczenia. Chyba nie zdaje sobie pani sprawy, że ja zginę nietylko fizycznie ale i moralnie w tej walce z niewidzialnym, zamaskowanym wrogiem. Ciosy, które otrzymuję, niweczą me siły, to jest zupełnie bezpłodne zmaganie się ze straszliwą, trującą śmiertelnie mgłą oszczerstw, podobnie jak ta, co nam przeżarła do cna płuca na polach bitew w roku 1917.

— Panie Stefanie, czegoż pan ode mnie chce?

— Czego ja chcę? Nic nie chcę. Pytam się tylko pani, czy pani bierze odpowiedzialność za swe słowa, czy pani rozumie, że aby pójść za mną, trzeba iść naprzekór wszystkiemu, co dotąd było pani bliskie. Albo, albo.

— Panie Stefanie. Nie mówmy o tem, co budzi rozczarowanie i gniew. Co nam sprawy szerokiego

świata, co nam synhedryjony polityków czy bankierów. Stoimy przed sobą dwoje ludzi, własnym służąc celom. Jestem niezależna, mam wiele, bardzo wiele pieniędzy, lecz nie jestem szczęśliwa, nie dała mi szczęścia walka z panem i przeciw jego sprawie, chcę z panem przymierza, chcę przymierza kobiety z mężczyzną — dla naszego osobistego szczęścia, wszystko inne to złuda. Pan sam to, Stefanie, doskonale rozumie. W chwili, kiedy panu potrzeba bratniego, wiernego, oddanego mu ślepo serca, niema przy panu nikogo, jest pan sam oddany na pastwę jałowego rozdrapywania własnych ran, których nie pielęgnuje żadna czuła ręka.

— Gdyby można uwierzyć, gdyby można uwierzyć kobiecie. Przymierze między nami jest chyba tak samo niemożliwe, jak jest niemożliwe między temi dwoma światami, z których wychodzimy. Różna jest nasza mowa i różne cele, różne poglądy na to, co godziwe, a co niegodziwe. Ot i pani — jesteś teraz gotowa zdradzić swój naród, swą sprawę — mniejsza z tem jaką — byle dogodzić swej miłości. Cóż warta jest pani miłość dla mnie, jeśli na wszystko się waży.

— Właśnie dla tego, że na wszystko się waży, tak wiele jest warta. Napisane jest, że porzucić trzeba ojca i matkę i pójść za wybranym, więc ja porzucam wszystko i gotowa jestem pójść za panem, pójść na wszystkie możliwości życia. Tego przecież panu brakowało, nie miał pan istoty niewolniczo oddanej sobie, gotowej na dolę i niedolę. Ja właśnie przychodzę do pana w chwili, kiedy jest pan zgnębiony i osaczony przez wroga i kiedy ciąży panu samotność.

Stefan spojrzał uważnie na Sarę, jednak było coś w jej słowach, w akcentach, które w nie kładła, coś, co nasuwało zaufanie i pewność niemal szczerości. Co za przedziwna intuicja w ujęciu jego stanu duchowego, intuicja, w którą wyposażone są kobiety, oddane głębokiemu uczuciu. Więc, doprawdy, Sara szczerze się nim interesowała.

— Pani się egzaltuje, a to nie prowadzi do niczego dobrego, jak nie zaprowadziła mnie do niczego moja społeczna egzaltacja. Czasy i ludzie są trzeźwi i świat przekreśla bezlitosną ręką takich jak my zapaleńców. Nie można ofiarowywać nikomu pełnego serca. Nikomu i niczemu — mówił Stefan z dziwną, samobiczującą goryczą. W tej chwili w olśniewającym skrócie stanął przed jego wzrokiem cały ukryty sens jego życia, które spalało się napróżno w bezpłodnych, bohaterskich ofiarach, przyjmowanych z szyderstwem przez świat i jego najbliższych. Patrząc w duszę tej wyszlachetnionej przez egzaltację kobiety, ujrzał wyolbrzymioną swą postać duchową i jej śmiertelną cechę czy wadę — przesadne wylanie się dla wszystkich.

— Trochę zdrowego egoizmu jeszcze nikomu nie zaszkodziło; pani, widzę, ma skłonność do samoudręczenia się przesadnym altruizmem.

— Cóż zrobić, jestem już taka, ja sama starałam się zwalczać to w sobie. Przez kontrast z mem najbliższem, jakże wyrachowenem otoczeniem widziałam jasno w tej cesze charakteru zaród śmiertelnej choroby duszy.

Starałam się ją zdusić, żyłam bujnem, zmysłowem życiem, lecz w potoku banalności nie udało mi się utopić nostalgji za jakiemś wyjątkowem, frenezyjskiem uczuciem. Z takiej już jestem ulepiona gliny i to będzie zapewne źródłem mej zguby. Zresztą każdy na swój sposób kopie sam sobie grób. I ja, i pan i choćby taki Goldstein, który także na ślepo służy pewnemu celowi, jaki mu podsunęła sugestja wiekowej kultury jego narodu. Megalomanja narodowa, która go opanowała, która go wkońcu rozgrzesza nawet od zbrodni, napewno zgotuje mu zgubę, jemu i jego towarzyszom.

Stefan na dźwięk nazwiska Goldsteina znów się nasrożył.

Otrzeźwiło go to spod czaru wynurzeń Sary. Uprzytomnił sobie: przecież to wspólniczka tego łotra Goldsteina.

— Powiada pani zguba. Któż zgubi Goldsteina, jeśli nawet pani nie odważa się go zgubić, nie chce czy nie może przełamać solidarności, jakże strasznej i godnej podziwu u waszej rasy.

— Nie powiedziałam — nie! Prosiłam tylko, by pan nie żądał ode mnie ostateczności, by pan nie wystawiał mnie na śmiertelną próbę, jeśli choć trochę pan mnie kocha.

— Miłość! — żachnął się Stefan. Podziwiam panią, mam dla niej szacunek, jest w pani coś egzotycznego, niepojętego, budzącego raczej grozę. Może krew obarczonej wiekami rasy ma u pani inny gatunek chemiczny i dlatego nie mogę zrozumieć jej tajemniczego rytmu.

— Pan się specjalnie odgradza ode mnie frazesem o obcości krwi, frazesem, który wszczepiła całemu światu okrutna legenda, czy plotka historyczna. Z jednego przecież pochodzimy pnia, a duchowo mamy chyba ze sobą więcej wspólnego, my żydzi, z całym światem chrześcijańskim, niż jakikolwiek inny lud pięciu kontynentów. Trzeba nas tylko zrozumieć, trzeba nas przezwyciężyć tem, co w was jest wyższego, szlachetniejszego.

— Och, pani kładzie pod swe uczucie bardzo rozległe filozoficzne fundamenty.

— Tak jestem od stóp do głowy wyposażona na walkę o serce pana.

Stefan uśmiechnął się, po raz pierwszy jakimś dobrym, jasnym uśmiechem, wszystko obejmującym i wszystko pojmującym.

— Widzę, że bez wypowiedzenia wojny moglibyśmy zawrzeć rozejm i ułożyć zasady przymierza — przymierza serc — mówiła Sara.

— To niemożliwe, nie mogę złamać już istniejącego przymierza.

— Ono już zostało złamane.

Och, skąd ta pewność — odparował Stefan, którego zakłuło aż w piersi na samą myśl o tem. Co za dziwna rzecz, dziś już druga osoba zapewnia go o tem.

— Pani ma doskonały tajny wywiad. Wie nawet o tem, o czem ja nie wiem.

— Pan nie wie, przecież to norma dla każdego męża, dowiadywać się ostatni o tem, co się dzieje w domu.

— To może i nasze szczęście. Boć szczęściem jest, gdy się nie powinno, nie może czy nawet nie chce dowiedzieć o czemś przykrem a nieodwołalnem. Dzieci są tak szczęśliwe, bo mają jeszcze więcej złudzeń niż wiadomości.

— Nie czas być dzieckiem w małżeństwie. Przeciwnie, im bardziej jest się świadomym wszystkich atutów i wszystkich pass życia, tembardziej gra jest interesująca i tem przyjemniejsza.

— Och, nie powiedziałem, że nie znam swych kart, ale znać karty, to nie znaczy jeszcze godzić się na przegraną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wiktorja Goryńska *Pieta*

MADONNA DEL

Florencja w sierpniu.

„Dlaczego nigdy w wiekach ubiegłych żadna kobieta nie stworzyła podobizny Madonny, godnej uwagi z punktu widzenia artystycznego? Czy dlatego, że dawniej kobieta była duchowo bardziej ograniczona od mężczyzny, brakło jej przygotowania do podjęcia tak wielkiego i wzniosłego tematu?"

Takie pytanie rzuca kobieta, prof. Helga Elmquist-Cau. Stwierdza ona, że wogóle kobiety dawniej słabo się zaznaczały w dziedzinie sztuk pięknych. Powstało nawet mniemanie, że są jakoby upośledzone w dziedzinie uzdolnień artystycznych, że owszem niebrak im zmysłu artystycznego, ale nie posiada on twórczego charakteru. Nic więc dziwnego, że i w sztuce religijnej nie obserwujemy udziału kobiety, nic dziwnego, że nie zajęła się ona tematem tak dla siebie stosownym, odtworzeniem postaci Madonny, tej, która jest wcieleniem najdoskonalszem kobiecości, macierzyństwa i piękna duchowego i fizycznego, jakie wyobraźnia nasza z tem łączy.

Emancypacja kobiety, jaka się dokonała w ubiegłym stuleciu, przejawiła się również w dziedzinie sztuki, malarstwa i rzeźby. Kobieta zaczęła twórczo zaznaczać swój wpływ w plastyce, nie pomijając dziedziny sztuki religijnej.

Jako konsekwencja tego faktu powstała myśl urządzenia międzynarodowego konkursu pod hasłem „Panna Marja w oczach współczesnej kobiety". Hasło to rzuciła wspomniana pani Elmquist-Cau, przewodnicząca komisji sztuki przy florenckiem Lyceum.

Pomysł znalazł szeroki i przychylny oddźwięk. Księżniczka włoska Corsini-Pandolfini ofiarowała odrazu cenny upominek dla zdobywczyni pierwszej nagrody Rozpoczęto prace przygotowawcze, mając na uwadze, że w konkursie weźmie udział około 400 osób. Kiedy jednak w grudniu zamknięto konkurs, okazało się, że liczba zgłoszeń osiągnęła 500.

Potrzeba było pomyśleć o odpowiedniej sali wystawowej. Znaleziono ją w miejskiem muzeum, w Galerji Sztuki Nowoczesnej. Coprawda bliskość arcydzieł Michel Angela mogła działać niekorzystnie na efekt nowoczesnych dzieł, ale właściwie, czyż cała Florencja nie jest jednym kwiatem sztuki renesansowej?

Komitet organizacyjny wystawy uporał się wreszcie z całym bogatym materjałem, nadesłanym z różnych stron świata. Postanowiono, z małemi wyjątkami, pokazać wszystkie nadesłane obrazy. Według opinji komisji, osiem lub najwyżej dziesięć były to dzieła pierwszorzędnej jakości, następne czterdzieści miało nieprzeciętny poziom techniczny, lub ciekawe rozwiązanie tematu. Reszta to materjał interesujący z punktu widzenia jakby to powiedzieć etnograficznego, poprostu jako dokument czasu, jako wyraz załamywania się w psychice współczesnej kobiety postaci Madonny.

Czołowe obrazy stanowiły zresztą zespół najrozmaitszych technik i tendencyj artystycznych a niemniej i religijnych. Nie brakło dzieł bardzo wyrafinowanych. w fakturze, ale rażących swem nieprzystosowaniem do wymagań sztuki religijnej. Dzieła te zresztą pochodziły z krajów północnych, niekatolickich.

Natomiast kraje południowe przedstawiły cały szereg utworów, zachwycających swą wyjątkową aurą mistyczną, choć nieraz technicznie słabszych.

Gdy się tak przebiegało wystawę w poszukiwaniu dzieł najbardziej wartościowych, trudno było nie zwrócić uwagi na malowidło Wiktorji Rogener ze Stuttgartu pt. „Mater Dolorosa". W tym doskonałym obrazie, stylizowanym według dawnej maniery, musiała uderzyć ogromna siła w wypowiedzeniu bólu Matki Bożej. Z tragicznym jego akcentem kontrastowała wywieszona w 1-szej Sali Italskiej maleńka, pełna poetyckiego nastroju i pogodnego nimbu „Gwiazda Zaranna". Niedaleko wisiały dwa płótna Ady Trani, interesujące z punktu widzenia dekoracyjnego.

Po chwili jesteśmy w 2-giej Sali Italskiej, gdzie bije w oczy wśród całego szeregu doskonałych tworów tragiczna „Mater Salvatoris" Zofji Chiostri, odznaczona jednogłośnie przez publiczność pierwszą nagrodą. Matka Boża tuli do siebie dwunastoletniego Jezusa, na twarzy przeczucie Jego losu. Poważny w wyrazie Chry-



Marja Kralj *Pieta*

TUTTO MONDO

stus pochylający się ku niej z miłością i tkliwością. Całość tak wymowna w prostocie swych symboli, w trafności technicznego ujęcia, że doprawdy przynosi zaszczyt naszej współczesnej sztuce. Obok, w stylu quadrocento, bardzo dekoracyjne płótno Marji Tarsilia Prolo „Madonna z dzieciątkiem". Nieco dalej, natchnione duchem Giotta dwa obrazy Gildy Nagni.

Nawskroś religijne wzruszenia modlitewne wywołuje obraz „Ave Maria" Helgi Elmquist, potraktowany mocno w kolorycie. Pełna zalet jest też „Ucieczka do Egiptu" tejże malarki.

Cały urok tradycyj południowych w przedstawianiu Madonny zawarła Marja Cao z Sardynji w swej „Madonnina di Barbagia". Natomiast nawskroś nordycka siła indywidualności przemawia z dzieła A. Curadossi Arrighetti, „A Słowo ciałem się stało"... Niedaleko spotykamy, dwie majolikowe figurki Clelii Bertetti z Turynu. Obok jej złoconych medaljonów, wystawia srebrne w duchu nawskroś wiedeńskim p. Ida Schwetz Lehman.

Skolei przechodzimy do sali niemieckiej, gdzie na miejsce naczelne wysuwa się nagrodzona 1-szą nagrodą w dziale rzeźby, pełna bolesnego spokoju „Pieta" Ludmiły Pongraz z Monachjum. Dziewczęcym wdziękiem i wzruszającą ekspresją wyróżnia się „Anunziata" Elżbiety Ebner z Eschenbach.

Jednym z najbardziej wzruszających i naprawdę genjalnych obrazów na całej wystawie jest niewątpliwie „Madonna z grającymi aniołami" Edyty Wedel. Artystyczna maestrja rysunku i kolorytu, duch całej kompozycji, wszystko to harmonizuje się w niezrównaną całość.

Podobne zalety wykazuje Johanna Koch w swej „Marji z dziecięciem"; jakkolwiek brak jest tej kompozycji cech tradycyjnych, to jednak porywa nas wdzięk i aura szczęścia tej nieco po ziemsku pojętej Madonny. Te same uwagi należy zastosować do „Madonny w purpurze" pędzla Heli Peters. Ta ostatnia artystka wykazuje zresztą bardzo bogatą skalę możliwości. Akwarele Ady Haseloff — w duchu sztuki gotyckiej przenoszą nas w dziedzinę niemieckiego pojmowania tradycyjnego typu Madonny. Najcharakterystyczniejszym tego przykładem będzie „Madonna Germanica" Marji Lautenschlage. Wreszcie stajemy przed obrazem Lilly Ketteler, której publiczność ofiarowała nagrodę za dzieło najbardziej z ducha religijne.



Sofia Chiostri — Mater Salvatoris



Helga Elmquist — Ave Maria

Następnie mamy cały szereg okazów produkcji artystycznej w terrakocie. Dyplom honorowy przyznano w tym dziale p. Cornill-Docheut, za Madonnę siedzącą po turecku.

Opuszczamy tę salę, by przejść do Sali „Czarno-białej", gdzie wystawiają zarówno Niemki jak i Włoszki. Spostrzegamy tu przedewszystkiem ciekawy fryz „I Misteri gaudiosi" Marty Samartini, a dalej szereg prac Elsy Gradinger, Hedvigi Polizaeus i nieco teatralny szkic węglem Ireny Goeschen. Cały szereg pysznych drzeworytów wystawiła obok Gabriela Heinze.

Srebrny medal otrzymała Anita Blum za „Madonnę z liljami", wystylizowaną w duchu ruskiego malarstwa. Drugi srebrny medal dostała Käthe Müntzer za „Madonnę z dziecięciem". Jej też, jako jednej z najlepszych malarek całej wystawy, przyznano nagrodę księżnej Rucellai.

Wreszcie zbliżamy się do grupy prac polskich. Na czoło wysuwa się tu Wiktorja Goryńska, której drzeworyt „Pieta" zdobył złoty medal, budząc głęboki podziw zarówno krytyki jak i publiczności. Podobnie jej „Madonna dello Zodiaco". Goryńska wykazuje tak swoisty i oryginalny styl, że musi on przykuć uwagę widza. Dosadność i wyrazistość postaci przy jednoczesnej zdolności wydobycia w wyrazie twarzy siły wewnętrznych przeżyć, stawiają Goryńską na wyżynie doskonałej sztuki.

(Dok. na str. 277)

Z·KSIĘGI·PIELGRZYMA

NIECO HISTORJI.

Pośród wyższych wojskowych, otaczających Napoleona Pierwszego, znajdował się generał Lannes. Był to człowiek o niezaprzeczonym, wielkim talencie wojskowym, ale pozatem odznaczał się nadzwyczaj gorącym temperamentem. Szalone wybuchy jego gniewu przerażały poprostu wszystkich podwładnych mu oficerów i żołnierzy. Lękano się go, jak ognia.

Pewnego razu sam Napoleon był świadkiem takiej gwałtownej sceny, kiedy Lannes, strofując oficera za jakieś przewinienie, zdawało się, rozszarpie go na kawałki żywcem. Ochłonął wreszcie, wspiął konia ostrogami i odjechał precz galopem, wymierzywszy winnemu sprawiedliwość. Odjeżdżając usłyszał, jak Napoleon mówił do swego orszaku:

— Ten Lannes ma dane na wielkiego wodza, tylko mu jednej rzeczy brak... Gdyby się umiał lepiej opanować!...

Słowa te doleciały go przypadkiem, ale już odtąd nie dały mu spokoju. Trawiły, jak cierń w jego pamięci, stając się potężną pobudką do czynu, do walki zaciętej z wybuchami swego temperamentu.

Długo ponosił porażki. Nieopanowanie siebie weszło mu już w nałóg i za najlżejszym powodem do gniewu wybuchał pasją szaloną. Wychodził zwycięzca ze wszystkich bitew z wrogiem, a nie mógł zwyciężyć samego siebie. Gniew przytłumiany podnosił znów syczącą głowę żmii i zdawał się urągać: „A widzisz, oto znów jestem! Nic ze mną nie poradzisz! Lepiej daj spokój walce i poddaj się!“...

Ale mały kapral umiał w swoich ludziach zapalać iskrę uporu w raz podjętem przedsięwzięciu. Lannes nie dał za wygraną. Walczył z sobą zapamiętale. Widziano nieraz, jak się zmagał, jak czerwieniał i bladł naprzemiany, jak pot rzęsisty okrywał mu czoło i policzki, jak wargi od wewnętrznego podniecenia mu drżały, jak zębami zgrzytał... Ale słowa nie wyrzekł...

Pewnego dnia przejeżdżał przez obóz. Nagle jakiś żołnierz wystrzelił ot tak sobie, dla swawoli, na wiwat. Kula świsnęła tuż koło generała i przestrzeliła cugle konia, wyrywając z rąk jeźdźca rzemienie. Lannes był wściekły. Nakazał winnego przyprowadzić do siebie natychmiast...

Wszyscy byli przygotowani na najgorsze, sam winowajca szedł blady i przerażony, jak na stracenie. Był pewny wyroku śmierci.

Tymczasem na obliczu generała widać było walkę wewnętrzną, to rumienił się, to bladł, żyły nabrzmiały mu na czole, całem ciałem wstrząsał dreszcz, jak wicher silny starym dębem... Ale tylko patrzył na żołnierza i milczał. W pamięci słyszał szept słów Napoleona: „Ten Lannes mógłby być wielkim wodzem, gdyby się umiał lepiej opanować“...

I opanował się. Po dłuższej chwili milczenia rzekł do żołnierza spokojnym głosem:

— Czy wiesz, że wydałem zakaz strzelania w obozie? Dlaczego nie usłuchałeś i mimo zakazu strzeliłeś? Zamiast cugli moich, mogłeś mnie samego trafić. Jakbyś wówczas odpokutował swą lekkomyślność?... Niech mi się to więcej nigdy nie powtórzy... Odmaszerować!

Stało się więc... Kilka słów Napoleona sprawiły, że Lannes nauczył się panowania nad sobą...

Ośmnaście wieków przed Napoleonem z innych, nieskończenie świętszych, ust innego Wodza padły podobne słowa zachęty dla uczniów: „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą, opanują ziemię“. A kiedyindziej mówił Zbawiciel: „Nauczcie się ode mnie, że jestem cichy“...

Tysiące i tysiące dusz uważnych na słowa swego Pana, by Mu się przypodobać, wydało walkę zażartą porywom swego temperamentu. Stali się cichymi, opanowanymi ludźmi, wstąpili na wysokość ołtarzy i z tego piedestału opanowali świat... Posiedli ziemię, jak im przyrzekł Wódz ich Jezus Chrystus.

Nie przychodziło im to łatwo. Bywali święci o tak ognistym, porywczym temperamencie, że latami całemi natura wymykała się spod pręgierza ich woli, zdając się drwić z ich wysiłków daremnych. Ale jak kropla wody wydrąża kamień, gdy stale nań upada, tak i usilne, ciągłe ich starania Bóg uwieńczył skutkiem pomyślnym. Zwyciężyli siebie. Stali się ludźmi cichego serca, opanowanego charakteru... Stali się wodzami wielkimi, świętymi dla dusz przyziemnych, skłóconych w sobie, nieopanowanych... I szara rzesza śmiertelnych dziś bierze z nich wzór...

Nieraz w cichych godzinach wieczornych, kiedy zorza ozłaca niebo, las i wody, myślę sobie, że takiej złocistej ciszy dusz potrzeba współczesnemu społeczeństwu. Katolicy po świątyniach tak często powtarzają znany werset modlitwy: „Jezu cichy i pokornego serca, uczyń serca nasze według serca twego!“ Ale szept modlitewny pozostaje szeptem i poza progi świątyni nie wychodzi. Nie idzie z wiernymi do warsztatów, do ich domów, na ulice i drogi. Ludzi gwałtownych pełen świat, i katolików gwałtownego, nieopanowanego serca pełne wioski i miasta...

Kilka słów Napoleona, wziętych do serca przez generała Lannes, sprawiły w nim zupełną przemianę charakteru... Dlaczegoż tem większej, nawet aż świętej, zupełnej przemiany nie miałyby dokonać słowa Zbawiciela? By katolicy jęli się pracy usilnej nad zdobyciem tej wielkiej cnoty? By dokonali największego zwycięstwa, zwyciężając siebie?...

Stać się to może pod jednym warunkiem... Słowa Chrystusa o cichem, opanowanem sercu, muszą głęboko wziąć do serca...

Jak Lannes słowa Napoleona.

GOSPODARKA

Budda siedział jak zwykle pogrążony w myślach i wpatrzony w swój pępek, symbol mądrości i wieczności. W tem przybyli jego uczniowie, prosząc go, by rozstrzygnął ich wątpliwości.

— Mistrzu, zapytali, powiedz dlaczego krowa ma rogi? Chyba nie ku czczej ozdobie.

Budda chwilę milczał, zapewne szukając stosownych słów, aby go zrozumieli; wreszcie rzekł:

— Aby bodła tych, którzy nie umieją jej doić.

— Na czem polega ta umiejętność? — zapytał jeden

— Nie trzeba doić dłużej, niż jest mleka w wymionach. Inaczej będzie bodła.

— Ja myślę jednak, wyrwał się ktoś, że najlepiej będzie usunąć jej ze łba rogi.

— Ja radzę odciąć wymiona, skąd cieknie mleko — wyskoczył inny.

— Spróbujcie! — rzekł Budda i uśmiechnął się nad ich głupotą.

— A ty co radzisz mistrzu? — zapytano.

— Nakarmić krowę, obmyć i dopiero zacząć doić

Ta anegdota tout proportion gardées ilustruje nież'e problem własności.

Krowa to prawo własności, wymiona to własność, mleko to korzyści, a rogi, to naturalna sankcja karna dla tych, co naruszają prawo własności.

— A jak trzeba krowę doić? — pytali dalej.

— Zauważcie, że wymiona mają cztery sutki. Jedną — niech weźmie parja, druga — kupiec, trzecia — wojownik i czwartą — bramin i niech ciągną równomiernie

To rzekłszy Budda pogrążył się znów w myślach.

Mówi się, że w momencie obecnym wobec zdeptania prawa własności wszystko płynie — panta rei.

Pozwolę sobie to strawestować i powiedzieć, że z prawa własności powinno „płynąć dla wszystkich".

Obecna ciężka sytuacja ekonomiczna świata wynikła stąd, że prawo własności stało się przywilejem jednostek czy grup, gdy jest ono przecież zasadą powszechną.

Korzyści czyli jego konsekwencje winny spływać na wszystkich.

Słowem „inflacja". Oczywiście tak. Jest to najmądrzejsze dążenie, pobłogosławione najwyższym autorytetem woli Bożej. Najmądrzejsze a więc w praktyce najniebezpieczniejsze.

Z pojęciem inflacji wiąże się bowiem niewątpliwie pewien maksymalizm, który jak każdy maksymalizm ma swe groźne scylle i charybdy.

Kiedy więc wysuwamy pojęcie inflacji, czyli powszechnego wzmożenia dobrodziejstw prawa własności, to musimy jednocześnie wskazać na konieczność ustalenia pewnej właściwej metody, tempa i natężenia ekspansji gospodarczej.

„Szczęście" Midasa — maksymalisty jest tu ważną przestrogą i wskazówką. A więc znów hasło gospodarki planowej. Nie — kategorycznie nie. Myśląc o metodzie, dalecy jesteśmy od chęci stwarzania jakiegoś systemu ekonomicznego, zapewniającego wszystkim raj na ziemi czy kurę w garnku.

Takich konkretów w stylu midasowego złota obiecywać nie można i nie należy.

Pod tym względem hasło gospodarki planowej jest głupstwem, gdyż stwarza pewną sztywną granicę „ideału ekonomicznego", która stanowi swego rodzaju łoże Prokrusta, raz za krótkie to znów za długie, w rezultacie nieprzydatne dla nikogo.

Idzie natomiast o co innego. Chodzi o wysunięcie zasady rozwoju dobrobytu powszechnego polegającej nie na obcinaniu dostatków jednym i sztukowaniu innym, lecz na podnoszeniu ogólnego poziomu, aby różnice poziomów poszczególnych jednostek czy grup nie były tak rażące.

Bajka o Tryszkin-kaftanie jest ostrzeżeniem przed niedorzecznym majakiem egalitaryzmu gospodarczego.

Taka mechanistyczna równość jest ekonomicznym i etycznym nonsensem. Słusznie więc były minister włoski, Nitti, w swej ostatniej książce podkreślił sromotną klęskę mrzonki gospodarki planowej.

Nie o plan chodzi, ale o metodę.

Jedyna możliwa metoda to zdrowy liberalizm. Zdrowy, to znaczy szukający sprawdzianów dla siebie w etyce L'aissez faire, laissez passer zamieniło się na laissez casser. Tego rodzaju ekonomiczne passe par tout jest niedopuszczalne.

Dlatego to dreszcz zimnej grozy mię ogarnia, gdy słyszę o jakimś nowym systemie, czy „ustroju", komunistycznym czy innym To obojętnie.

Każdy „ustrój" jest czemś sztywnem, a przez to w pewnym momencie okazać się może niewystarczającym.

Niestety, tego nie rozumieją nasi różni „ustrojowcy", ultra czy extra postępowi, chrzczący czy przeklinający komunizm. Ustroje mogą być takie lub owakie przedewszystkiem jednak należy pamiętać, że to co w nich trwa, to prawo moralne i prawo natury.

W broszurze „Krach czy rozkwit"? napisałem, że „na świecie jest możliwy tylko jeden ustrój gospodarczy, który odpowiada zasadniczym psychofizycznym potrzebom człowieka" i podkreśliłem potrzebę doskonalenia form życia gospodarczego.

To zestawienie dwu tez daje dopiero właściwe pojęcie na kwestję ustroju w szerszem filozoficznem znaczeniu. Oczywiście w żargonie życia bieżącego pojęcie „ustroju" ma inne zastosowanie, dysproporcja jest tu taka, jak między Bogiem jedynym i wszechmocnym a partykularnemi bogami Olimpu.

Reasumując moje rozważania, dochodzę do ostatecznego sformułowania tezy, o której mówiłem i stwierdzam że zastosowanie powszechne prawa własności musi opierać się na zasadzie równowagi sił społeczno-ekonomicznych, uzupełnionej zasadą wolności gospodarczej i ewolucji dobrobytu ogólnego.

(Z przemówienia red. J. Czarneckiego na zebraniu „Naszej przyszłości").

„BIBLJOTEKA POLSKA" W RZYMIE

„Osservatore Romano" zamieszcza w jednym ze swych ostatnich numerów (z dn. 2 kwietnia) interesujący artykuł pióra Polaka, dra Bohdana Kieszkowskiego, p. t. „Biblioteca di Roma dell'Accademia Polacca di Scienze e Lettere". Artykuł ten jest ciekawym przyczynkiem do dziejów naszej Akademji z czasów ostatnich dwóch dziesiątków lat ubiegłego stulecia.

Na skutek ogłoszenia w r. 1883 słynnego breve papieża Leona XIII „Saepe numero considerantes", w którem Ojciec św. zarządza otwarcie Archiwów Watykańskich, przedtem dostępnych jedynie dla duchowieństwa, wszystkie państwa europejskie poczęły organizować specjalne delegacje uczonych do Rzymu dla głębszych studjów nad historją.

Między innemi również i polska Akademja Nauki i Literatury w Krakowie z entuzjazmem wita breve papieskie. Do Rzymu wyrusza specjalna „komisja historyczna" dla badań dokumentów z Archiwów Watykańskich, mogących rzucić nowe światło na dzieje Polski i jej stosunków z innemi państwami oraz ze Stolicą Apostolską. Komisja ta otrzymała nazwę „Komisji Rzymskiej". Dodać należy, że uprzednio czynione były w Archiwach Watykańskich badania naukowe mające na celu zgromadzenie materjałów dowodowych dla historji Polski, jednakże badania te podjęte były przez jednostki, jak Jan Albertrandi bibljotekarz króla Stanisława Augusta, Sebastjan Ciampi, interesujący się specjalnie historją stosunków pomiędzy Włochami, Polską a Rosją, hrabia Aleksander Przeździecki, który wraz z prefektem Archiwów Watykańskich, Augustynem Theiner'em przyczynił się do wydania monumentalnego dzieła „Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae" (Rzym 1860-64).

„Komisja Rzymska" rozpoczęła swoje prace w r. 1887. Zadaniem jej było zebranie dokumentów dotyczących historji Kościoła w Polsce w wiekach średnich oraz historji dyplomacji w XVI i XVII wiekach. W skład komisji weszli m. in. profesorowie Smolka i Zakrzewski. Komisji Rzymskiej zawdzięcza swe istnienie wydawnictwo „Monumenta Poloniae Vaticana", złożone z dwóch seryj: 1) Acta Pontificum Romanorum oraz 2) Akta Nuncjatur z w. XVI i XVII. W latach 1913—1915 wychodzą dalsze cztery tomy tegoż wydawnictwa a mianowicie: „Acta Camerae Apostolicae (1207—1374)", „Analecta Vaticana (1202—1366)", „Nuntii Ap. in Polonia J. A. Caligari, Epistolae et Acta (1578—1581)".

Po wojnie światowej polska Akademja Nauki i Literatury przy współudziale i pomocy rządu polskiego oraz osób prywatnych utworzyła w Rzymie swój oddział na wzór Bibljoteki Polskiej oraz Muzeum im. Mickiewicza w Paryżu.

W ten sposób powstaje w latach 1926-27 „Bibljoteka Polska w Rzymie", będąca niejako dalszym ciągiem i wynikiem poprzedniej Komisji Rzymskiej. Podstawę bibljoteki stanowi 12.000 tomów, dar hr. Józefa Michałowskiego, obecnego jej dyrektora. Bibljoteka mieści się w Hospicjum św. Stanisława, ufundowanem dla pielgrzymów polskich przez kardynała Hozjusza. W r. 1929 Bibljoteka Polska w Rzymie otrzymuje od hr. Karola Lanckorońskiego 60.000 fotografij dzieł sztuki, a od hr. Stanisława Badeniego — 2.000 tomów z dziedziny historji sztuki.

„Bibljoteka Polska" otacza opieką stypendystów polskich, przebywających w Rzymie celem poznania języka włoskiego oraz dla studjów historycznych. Posiada ona poważne źródła do badań nad historją państw słowiańskich, zagadnieniami związanemi z dziejami Europy wschodniej (Bałkany, Grecja) oraz problemami t. zw. bałkańskiemi. Z Bibljoteki Polskiej korzystają nietylko Polacy, ale również i liczni studenci i uczeni innych narodowości.

Ogromne zasługi nauki polskiej oddał długoletni badacz dziejów Polski, a zwłaszcza jej stosunków ze Stolicą Apostolską i Włochami, prof. dr. Maciej Loret, od kilkunastu lat już zamieszkujący w Rzymie i pracujący w tamtejszych bibljotekach. Spod pióra tego wybitnego uczonego wyszło szereg prac naukowych w językach polskim i włoskim, jak np. „Kościół katolicki a Katarzyna II", „La lingua russa nelle Chiese Catoliche di Russia", „Zamach na Stanisława Augusta w świetle źródeł watykańskich", „Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku" i t. d.

JEDZIEMY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

O pielgrzymkach do Ziemi Świętej powstała już cała literatura. Wymagały one bowiem w ubiegłych wiekach tylu przygotowań i czasu, że ten, kto się odważył na przedsięwzięcie takiej podróży, uchodził po powrocie w swem mieście i rodzinie za kogoś nawpół świętego, otoczonego do końca życia specjalną czcią i poważaniem.

Mijały wieki, zmieniały się poglądy i kultury, ale kult Ziemi Świętej pozostał zawsze ten sam. Mało kto tylko dawniej mógł sobie pozwolić na odbycie takiej pielgrzymki, raczej poprzestawano na opowiadaniach tych, którzy wrócili stamtąd wzmocnieni na duchu i pokrzepieni w wierze.

Z biegiem wieków zmieniło się tylko jedno, a mianowicie podróż do Ziemi Świętej została znacznie ułatwioną. Dzięki bezpośredniej komunikacji morskiej i doskonałym połączeniom na lądzie, pielgrzymka, która dawniej wymagała niemal roku podróży i połączona była z wielkiemi kosztami, dostępnemi tylko dla możnych wybrańców fortuny, dziś stać się może udziałem szerokich rzesz, szukających ukojenia i pocieszenia w modłach na tem jednem, jedynem na świecie miejscu.

Dzisiaj okręty Polskiego Transatlantyckiego Tow. Okrętowego dowożą pielgrzymów za dostępną opłatą z portu w Constanzy do Jaffy, dając im w czasie podróży opiekę, doskonałą obsługę i możność wysłuchania codziennie Mszy św., odprawianej przez polskiego księdza.

Do czasu uruchomienia bezpośredniej komunikacji morskiej polskiemi okrętami, pielgrzymi nasi byli zdani często na niedbałą i nie rozumiejącą zupełnie ich języka obsługę zagranicznych okrętów. Dziś czują się doskonale, mogąc z łatwością rozmówić się z każdym na statku po polsku i odnosząc wrażenie, nawet na dalekiej obczyźnie, że są jeszcze ciągle u siebie w kraju.

WAKACJE OJCA ŚW.

Castel Gandolfo, sierpień

Dni czasu wypoczynkowego papieża mało różnią się od dni pracy w Watykanie. Ojciec św. wstaje, jak zwykle o godz. 5 m. 15 rano. Dwie godziny przepędza na modlitwie i rozmyślaniu, oraz odmawianiu brewjarza. Mszę św. odprawia o godz. 7 m. 30. Po lekkim posiłku udziela posłuchań prywatnych, pierwszą osobą przyjmowaną jest kardynał sekretarz stanu. Posłuchania prywatne kończą się zwykle około godz. 12 m. 30, poczem Ojciec św. udaje się ze swego prywatnego gabinetu do sal — aby udzielić posłuchań publicznych, które odbywają się codziennie; trzy razy tygodniowo udziela Ojciec św. posłuchań grupom młodych małżeństw.

Posłuchania publiczne kończą się około godz. 2 m. 30, poczem Ojciec św. spożywa posiłek, potem słucha wiadomości odczytywanych mu z gazet przez towarzyszącego mu prałata, lub też sam czyta gazety. Po krótkim spoczynku udaje się Ojciec św. na przejażdżkę po ogrodach. Towarzyszą papieżowi jeden z dyżurnych prałatów i lokaj. Również zażywa Ojciec św. pieszych spacerów, zwykle wysiada z samochodu, aby przyjrzeć się pracom. Tak np. 16 sierpnia zwiedził mleczarnię i obory, obejrzał szczegółowo pomieszczenia dla krów, skład paszy, pochwaliwszy panujący tam porządek i czystość. Ogrody są tak rozległe, że Ojciec św. powracać może rozmaitemi drogami. Po powrocie z przejażdżki pozostaje Ojcu św. wieczór całkowicie wolny, który zużywa na czytanie, studja i modlitwy. Te wolne wieczory w Castel Gandolfo są jedyną różnicą w trybie życia papieża w porównaniu z Watykanem. W parę dni po przybyciu do swej letniej rezydencji polecił Ojciec św. miejscowemu podeście (burmistrzowi) rozdać ofiarowane przez siebie 10 tysięcy lirów. Podesta natychmiast sporządził spis najbiedniejszych rodzin, którym rozdał wsparcie, oznajmiając przytem, kto jest ofiarodawcą. W ubiegłym tygodniu zdarzył się następujący wypadek: rybacy na jeziorze Albano, położonem w pobliżu rezydencji papieskiej złowili rybę rzadkiej wagi i wielkości. Postanowili ofiarować ją Ojcu św., prosząc podestę odesłać rybę papieżowi. Wzruszony tą synowską hojnością, Ojciec św. polecił rybakom wyrazić swe podziękowanie.



Gabinet pracy Ojca św. w Castelgandolfo

W starej willi Barberini są pokoje dla Mistrza Dworu (Maestro di Camera), oraz dla prałatów towarzyszących papieżowi. Są również pokoje dla Kardynała Stanu, jeżeli musi on przebywać w rezydencji papieskiej. W rezydencji tej znajdują się zarządy radjostacji i obserwatorjum. Prace przy naprawie, które początkowo były powstrzymane z racji przyjazdu Ojca św. zostały na osobiste jego życzenie podjęte, ponieważ nie chciał, aby 50 ludzi zostało pozbawionych pracy.

Z TEATRU

W pięciu teatrach miejskich rozpoczęły się już próby nowych sztuk, które będą wystawione we wrześniu. W teatrze Polskim odbywają się próby komedji Szekspira „Sen nocy letniej". W roli Tytanji ujrzymy Kuncewiczównę, rolę Puka zagra Marja Żabczyńska, Hermji — Borowska, Heleny — Barszczewska, Sipol'ty — Hanna Daszyńska. Z mężczyzn grają: Adolf Dymsza, Jan Kurnakowicz, Kreczmar, Damięcki, Leon Łuszczewski i Socha.

W teatrze Nowym odbywają się próby sztuki Marji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej „Egipska pszenica". Główne role grają: Marja Gorczyńska i Michalak.

W teatrze Letnim w pełnym toku są przygotowania do premjery komedji Rapackiego „Człowiek, który nie pije". Grają w tej komedji główne role: Michał Znicz, Hnydziński, Antoni Różycki, Tadeusz Chmielewski, Karolina Lubieńska, Janacka, Różańska, Kawińska, Kajzerówna i Munclingrowa.

Rozpoczęły się również próby nowej sztuki Grubińskiego „Taniec", która będzie wystawiona w teatrze Małym. W rolach głównych ujrzymy Samborskiego i młodą artystkę z Łodzi Irenę Wasiutyńską.

W teatrze Narodowym na otwarcie sezonu wystawiony będzie „Ludwik XI". Role główne grają: Węgrzyn, Roland, Justian, Macherska, Wierciński, Janusz, Rygier, Żeleński, Dominiak.



Elisabeth Chaplin — Matka Zbawiciela

Dokończenie „Madonna del tutto mondo".

Godna uwagi jest Zofja Szartowska, wybitnie wyczuwająca polską sztukę ludową, dała zwracający powszechną uwagę obraz „Madonna w glorji". Marja Sieraczyńska dała na bardzo wysokim poziomie i wysoce oryginalne „Zwiastowanie". „Maria Virgine" Marji Obrębskiej, dalej „Panna Marja" Wandy Telakowskiej. pięknie się wyróżniały. Zatrzymują nas też obrazy stale przebywającej we Włoszech i stąd nie wolnej od ich wpływów Eugenji Andruszkiewicz. Natomiast nie możemy się pogodzić zupełnie z twórczością Heleny Zielińskiej z Krakowa, która nadała swej kompozycji raczej charakter bachiczny. Daleko odbiega to od wyobrażeń o sztuce kościelnej. Ogółem udział Polski zaznaczył się dzięki inicjatywie pana Samuela Tyszkiewicza bardzo dodatnio i wybitnie, na całokształcie wystawy, a zdobycie przez Goryńską złotego medalu jest pięknym sukcesem. Z przedsatwicielek innych słowiańskich narodów należy tu wspomnieć o Marji Kralj z Ljubljany, która zdobyła 3-cią nagrodę za „Pietę" a la trecento. — Gdy raz jeszcze na odchodnem spoglądamy w długą amfiladę sali, ogarnia nas mocna fala przedziwnego ciepła tkliwości które wypowiedziało się w dziejach genjuszu artystycznego kobiet, będąc wyrazem ich kultu dla najwznioślejszej z kobiet — Madonny.

Irena Pawłowska

O DOBREM WYCHOWANIU

(Ciąg dalszy).

Polacy są ludźmi pól, a charakter ruchu, nawet w miastach, jest raczej wiejski. Każdemu się zdaje, że łazi po swoim folwarku. Stoi np. ktoś przy wystawie sklepowej. Naraz — skończywszy oglądanie okna — rusza dalej. Ale zamiast zrobić ruch głową w prawo, czy w lewo i zobaczyć drogę, w którą rusza, robi swobodny krok w tył na trotuar i oczywiście wpada na przechodnia I jeszcze zaklnie. Inny wybiega pędem z bramy. Inny znów, wychodząc ze drzwi sklepowych wisi jeszcze na klamce i ma iść na prawo. Zdawałoby się, że tam powinien zwrócić wzrok. Nie, on patrzy w lewo, a wyrusza bokiem w prawo. Znów wpada na kogoś i obydwaj rzucają sobie epitety. ten — idjota, tamten — bałwan.

Cały sens w tem, że obydwaj mają rację.

Ludzie źle wychowani... Dali tego podwójny dowód.

Każdy ruch nieopanowany jest śmieszny, dowodzi braku kontroli nad samym sobą, to znaczy — braku wychowania. Znałem doskonałego mówcę politycznego, Amerykanina, który mógł wygłosić dwugodzinną mowę z jednym gestem: prawą rękę wznosił nieco w górę i palcem wskazującym, wystawionym wyżej głowy, kiwał bez przerwy, jakby groził. Pomimo dużego talentu krasomówczego, był niedoścignienia. Inny znów świetny mówca, profesor Sorbony, słynny specjalista prawa międzynarodowego, takie nieprawdopodobne wyprawiał ruchy ustami, że nie można się wstrzymać od śmiechu.

Unikajcie głupich ruchów i gestów.

* * *

W dawnej Rosji mawiano, że człowiek składa się z duszy, ciała i paszportu. W Polsce, chwała Bogu, paszport ma mniejsze znaczenie i można ten aforyzm przerobić, zastępując paszport ubraniem.

Trzy są gatunki przykrycia i ochrony ciała: odzienie ubranie i strój.

Odzienie noszą ludzie ubodzy. Ubierają się — biedacy — w co mogą. O strojach nie będziemy mówili. Jest to przedewszystkiem wyłączność kobiet. Współczesnego ubrania męskiego w żadnym razie nie można nazwać strojem, chyba galowy mundur dyplomatów z orderami, wstęgami i pióropuszem. Mówiąc ciągle o przeciętnym typie człowieka, mieć będziemy do czynienia — z ubraniem.

Ale co ma ubranie do dobrego wychowania — powie sobie czytelnik — i formalnie będzie miał rację. W istocie rzeczy jednak ubranie charakteryzuje gust i skłonność człowieka, a te znów zależne są od dobrego czy złego wychowania. Przytem zastosowanie ubrania do okoliczności dowodzi logicznego myślenia i ładu, ale nadewszystko człowiek winien się starać, by sposobem ubrania nie raził, nie wnosił dysharmonji, by ubranie jego nie było przesadne, pretensjonalne, albo znów nie było zbyt bezpretensjonalne.

Już sama higjena wymaga, by człowiek ubierał się w lecie lekko, a w zimie ciepło, ale i dobra forma nakazuje, by spowodu ubrania niewłaściwego nie być spoconym w lecie a zmarzniętym w zimie, bo widok i jednego i drugiego nie jest przyjemny.

Męskie ubranie jest już dziś tak ustandaryzowane, że protokółu ubrania właściwego łatwo się można nauczyć A to jest konieczne, by nie razić i nie wprowadzać bezładu w towarzystwie.

Na codzień — garnitur marynarkowy, dla młodzieży najpraktyczniej z pantalonami do kolan, obuwie czarne lub żółte, krawat kolorowy, najlepiej jednolity, w każdym razie w desenie nie rażące. Miękkie kołnierzyki, wprowadzone podczas wojny, lepiej stosować tylko w lecie. Kapelusz miękki, rękawiczki jasne, palto zapięte. W zimie getry są w powszechnem użyciu. Dobranie do koloru koszuli krawatu, chusteczki i pończoch, jest już pewną przyjemną elegancją. W tym stroju można nawet pójść do dobrych znajomych na herbatkę poobiednią. W lepszym tonie będzie wziąć garnitur granatowy. Na specjalnie proszony podwieczorek, na wczesny obiad, między drugą a czwartą, na wizytę dzienną bardziej oficjalną — należy mieć czarną marynarkę z takąż kamizelką i pantalony w paski, możliwie melon, koniecznie czarne obuwie ciemny krawat, sztywny podwójny kołnierzyk.

Żakiet używa się dziś rzadko: tylko z pierwszą wizytą oficjalną i we wszystkich momentach uroczystych ale nigdy wieczorem. Do żakietu nie wolno brać kapelusza słomkowego ani żółtego obuwia.

Surdut, czyli anglez, można zastosować dla starszych panów w momentach uroczystych w dzień. Całość musi być wówczas starannie dobrana. Melon czy nawet cylinder, czarne palto, jasne rękawiczki.

Wieczornem ubraniem jest smoking przy czarnym krawacie.

Frak, przy krawacie zawsze białym, jest strojem galowym, uroczystym, balowym.

Jak żakietu nie nosi się nigdy wieczorem, tak smoking i frak nie znoszą światła dziennego. Do fraka bierze się szapoklak, lakierki i czarne palto.

Dlaczego o tem mówimy?

Cechą dobrego wychowania jest niewyróżnianie się rażące, zastosowanie się do ogółu, do panujących obyczajów i ujednostajnionej formy. Jak wygląda zebranie, gdy panie wszystkie są w strojach wieczorowych, a z panów jeden we fraku, dwóch w smokingach, jeden w żakiecie a jeden w marynarce? Niestosowanie się właśnie do reguł — razi Nie wchodzimy więc w szczegóły. Chodzi nam tylko o samą zasadę ubierania się.

Oczywiście, że wszelkie sporty i wycieczki wymagają kostjumów ad hoc stosowanych, których nie należy używać w innych okazjach. Każdy rozumie, jak śmiesznym będzie myśliwy w stroju tenisowym, a narciarz w stroju wioślarza. Tak samo śmieszny jest żakiet w loży operowej a smoking na popołudniowej herbatce.

* * *

Nauka higjeny uczyniła dziś takie postępy i tak się spopularyzowała, że jest dostępną dla każdego. Nie będą nas tu oczywiście interesowały ani masaże twarzy, ani różowe paznokcie. Ale nam chodzi o współżycie ludzi.

Biorąc rzecz materjalnie, człowiek — niestety — jest tylko zwierzęciem o skomplikowanem funkcjonowaniu ciała. Włosy człowieka wydają pewien odór, oddech jest wydzieleniem powietrza zużytego, gorąco powoduje pocenie się ciała, a więc wydalanie przez pory niepotrzebnych już organizmowi materjałów i t. d., jak wszyscy wiemy. Gdy się jest Robinsonem, to już jest rzeczą gustu, czy, będąc samotnym na wyspie odludnej, człowiek kąpie się codzień czy nie. Ale skoro się ludzie stykają z sobą bez przerwy i masowo, to człowiek dobrze wychowany pomyśli o tem, by — a woda nie jest droga — tak czysto ciało utrzymać, żeby nie dawało ono żadnych wrażeń ujemnych.

W tej dziedzinie jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Obcowanie z ludźmi charakteryzuje człowieka dobrze wychowanego tem, że pamięta on, iż nie jest sam.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Mimo wszystko, wydarzenia niemieckie wysuwają się wciąż na czoło wypadków polityki europejskiej. Nawet zabiegi min. Barthou, latającego Holendra spod bandery Ligi Narodów, nie wiele zwracają uwagi. Pokryła je całkowicie szumną falą mowa Hitlera. Jej refleksy zagraniczne są bardzo różnorodne, ale w każdymbądź razie bardzo żywe. Oczywiście najmniej chętnie ustosunkowuje się opinja francuska:

,,Samoobrona Hitlera przed sądem opinji światowej nie przekonała nikogo. W ciągu dwóch długich godzin, przemawiając głosem zdławionym, chrapliwym, drgającym, urywającym się w środku słowa, wrzaskliwym jak pisk zarzynanego zwierzęcia, spazmatycznym, aż do rozerwania piersi, kanclerz Trzeciej Rzeszy próbował jakoś usprawiedliwić krwawą sobotę przed opinją niemiecką i opinją światową — lecz naprożno".

Temi słowy zaczyna swój artykuł w prawicowym ,,Figaro" znany publicysta hr. d'Ormesson.

Jak właściwie przedstawia się tło wypadków czerwcowych w ,,oficjalnem ujęciu" Hitlera. Całe odium przerzuca Führer na Schleichera, który miał nawiązać kontakty z niektórymi szturmowcami, na podstawie następujących punktów:

1) obecny stan polityczny w Rzeszy jest niedoutrzymania, 2) że przedewszystkiem należy skupić w jednej ręce obronę krajową i wszystkie narodowe związki, 3) że dokonać tego musi tylko jeden człowiek, a to szef sztabu, Roehm, 4) że kanclerz Papen musi zostać usunięty i Schleicher gotów jest objąć jego stanowisko.

Na zasadzie tych punktów powstać miał nowy gabinet z Schleicherem jako wicekanclerzem, Roehmem jako ministrem Reichswehry, a Hitlerem jako kanclerzem, co do którego przypuszczano, że zgodzi się na takie postanowienia.

Niebezpieczeństwo zamachu stanu ujawniło się, według Hitlera, w głosach prasy angielskiej i francuskiej, która coraz częściej wspominała o zmianach, mających nastąpić w Niemczech. Generał von Bredow miał nawiązać kontakt z zagranicą, przy pośrednictwie Schleichera. Sytuacja w końcu czerwca dojrzała do rozstrzygnięcia.

,,Powstanie — mówił Hitler — zdołano stłumić, zanim się nie rozwinęło. Musiano postąpić ,,żelaznem prawem".

Jak widzimy, wiele szczegółów Hitler oświetla wręcz z odmiennego punktu widzenia. Najciekawsze w tej relacji jest odsłonięcie konfliktu między Papenem a Schleicherem, konfliktu, który niewątpliwie musiał w dużym stopniu zaważyć na przebiegu wypadków. Konflikt między tymi działaczami politycznymi, którzy uchodzili z czasów wojny za przyjaciół, istniał nie od dziś. Przytem Papen odegrał w nim niezwykłą rolę siadania na dwu stołkach. Pewne szczegóły, dotyczące okresu przed dojściem Hitlera do władzy, podał sam Schleicher prasie angielskiej. Zwierzał się on w wywiadzie z pewnych posunięć na początku 1933 r. Wystąpił on wtedy przeciw t. zw. Osthilfe.

Aby poratować ludność wiejską wschodnich Niemiec, parlament uchwalił olbrzymie kredyty, z których miljony poszły do kieszeni obszarników. Nabyli oni za te pieniądze nowe majątki, gdy ludność wiejska nie dostała nic. Podniosłem zarzuty w tej sprawie i liczyłem na to, że w wyborach znajdzie to swój wyraz. Wtedy właśnie wystąpił na widownię von Papen, jeden z moich najdawniejszych przyjaciół. Ostrzegano mnie przed nim, śledzono go, toteż dzięki temu dowiedziałem się o spotkaniu Papena z Hitlerem, które miało miejsce w styczniu 1933 roku.

Wezwałem natychmiast Papena i prosiłem, aby w imię starej przyjaźni powiedział mi szczerze, co oznacza jego rozmowa z Hitlerem. Na to Papen uścisnął mi dłoń i powiedział, przysięgając na honor żołnierza, że nigdy nie podejmie żadnej żadnej przeciwko mnie lub mojemu rządowi akcji.

Uwierzyłem temu i rozpocząłem przygotowania do walki. Porozumiałem się z wszystkimi przywódcami ruchu zawodowego w Niemczech, z socjaldemokratami, a nawet z jednym z rebeljantów z obozu Hitlera, Strasserem. Gdy zaś wszystko już było przygotowane, udałem się do Hindenburga, proponując mu rozwiązanie parlamentu. Na to jednak sędziwy prezydent odrzekł, że parlamentu nie rozwiąże, przyjmie natomiast moją dymisję, której jeszcze nie złożyłem i nie myślałem wogóle składać. Hindenburg oświadczył mi ponuro, że zdezorganizowałem armję.

Tak to, dzięki Papenowi, junkrzy odnieśli sukces, i, asekurując się przed ewentualnościami mojej polityki, dopuścili do głosu Hitlera. Po raz drugi, niewątpliwie zmierzył się Papen ze Schleicherem na tle nowej rozgrywki między lewicą szturmówek a junkrami. Mistrz gry politycznej, dżentelmen w rękawiczkach, załatwiający skomplikowane sprawy, znów odsłonił komu potrzeba kulisy i sprowokował, tym razem Hitlera do akcji. Reszta jest wiadoma. Wiadomem się staje także, że całe pomstowanie na zboczenia seksualne wyciętych w pień pretorjanów jest tylko pretekstem.

Otton Strasser, spełniając swą groźbę, (jeżeli Hitler nie wystąpi przeciwko innym zboczeńcom, piastującym dotąd wysokie godności, ogłosi ich nazwiska) — jako zboczeńców, powszechnie znanych, wymienia: 1) ministra Rudolfa Hessa, zastępcę Hitlera, 2) przywódcę młodzieży hitlerowskiej Baldura von Schiracha, 3) namiestnika Rzeszy Karola Kaufmanna, przywódcę brunatnej armji na Hamburg, 4) naczelnego prezesa Helmuta Brücknera we Wrocławiu, głównego przywódcę szturmówek na prowincję śląską, 5) por. Brücknera, osobistego adjutanta Hitlera. Jako świadków na swoje twierdzenie Otton Strasser podaje ministra d-ra Friecka, naczelnego prezesa Eryka Focha, generała Heinemana, majora Ducha i innych.

W tej kwestji od Hitlera, rzeczywiście, nie usłyszeliśmy żadnej odpowiedzi. Natomiast powiedział:

,,Ja jestem najwyższym sędzią i źródłem prawa! Ja rozstrzygam o tem, co dobre i złe!"

Potwierdził kilka dni przedtem słowa wypowiedziane przez Goeringa: — ,,Prawo i wola Führera, to jedno i to samo".

Trzeba przyznać, że miał już niejeden wzór, choćby ze strony Mussoliniego, który w roku 1925 takie dyktatorskie wygłosił credo:

,,Władcy Rosji (bolszewickiej) są naszymi nauczycielami, których podziwiamy. Musimy iść za ich przykładem. Błędem naszym jest, że nie naśladujemy ich wzorów w całości. Gdybyśmy to czynili, bylibyśmy teraz nie tu, lecz zesłani do ciężkich robót.

Powinniście otrzymać ładunek ołowiu w plecy. Nie zabraknie nam do tego odwagi — udowodnimy to. Dowiedziemy tego prędzej niż się spodziewacie.

Używać będziemy pałek, a w razie potrzeby żelaza.

Gwałtu nie można wykluczać z historji. Lecz gwałt, aby był skuteczny, musi być energiczny, inteligentny i rycerski (!) —

Jesteście zgodni ze mną, gdy ubolewam nad gwałtami odosobnionemi, brutalnemi, nieinteligentnemi. Wiecie, co sądzę o gwałcie. Jest on zupełnie moralny, moralniejszy od kompromisów i przetargów.

Albo moja jest prawda, albo wasza. Ponieważ ja mam siłę, więc używam gwałtu".

Jako polityczny odpowiednik do krwawych ,,monachijskich nieszporów" w łonie

hitlerowskiej partji został pomyślany zamach na kanclerza Dollfussa. W oczyszczaniu terenów dla dalszych zamiarów Hitlera największą przeszkodę w owej chwili stanowił Dollfuss, jako „wróg wewnętrzny". Przeciwko temu wrogowi zorganizowano szereg aktów teroru i regularnych zamachów. Rzecz dziwna, Dollfuss, który umiał się kategorycznie załatwić z socjalistami, był zbytnio miękki dla hitlerowców swoich, austrjackich oraz importowanych z Niemiec. Nic dziwnego, że musiał paść ofiarą swego przesadnego zaufania w ludzką szlachetność; to zaufanie jest chorobą na którą „umierają" najczęściej politycy katoliccy. Wspomnimy choćby takiego Brünninga. Zamach na kanclerza Austrji rzucił popłoch na całą Europę. Zaczęto snuć analogję do sytuacji sprzed dwudziestu lat.

W r. 1914 Niemcy rzuciły się w wir wojny tego samego dnia, w którym żona Caillaux zabiła redaktora „Figaro", Calmetta. Podobnie „dziwnych koincydencji" można naliczyć dziś bez liku.

Trzecim wreszcie występującym reliefem w prasie francuskiej, to stwierdzenie faktu, że z narodowym socjalizmem hitlerowskim łączy się nietylko masakra 30 czerwca, która pozostanie jedną z najbardziej ponurych kart cywilizacji współczesnej, lecz zbrodnie polityczne nazewnątrz, jak zabójstwo Duki i zabójstwo Dollfussa.

Słowem we wszystkich wielkich wydarzeniach, mogących wywołać nową pożogę w Europie, wzrok zwraca się instynktownie w stronę Berlina, jakgdyby tam tkwiła ręka, siejąca hojnie ogniem i krwią. Jeżeli uwagi powyższe zgromadzimy i powiążemy w jedną całość, będziemy mieli dokładny obraz tego, co Francja myśli o wczorajszym dramacie w Austrji. Oto zresztą opinja głównych dzienników, tudzież najwięcej miarodajnych publicystów:

Hr. d'Ormesson pisze w „Figaro": — Zabójstwo Dollfussa jest zbrodnią, którą Niemcy inspirowały, kierowały i wykonały poza granicami Rzeszy. Tak więc było wczoraj w Wiedniu. Ale co i gdzie odbędzie się jutro? Czyż Europa może tolerować podobną dla siebie egzystencję? Czyż można utrzymywać normalne stosunki dyplomatyczne? Znajdujemy się więc u progu nowej ery, nowej gry, w której stawką jest cywilizacja, lub barbarzyństwo. Toteż nadchodzące dni mogą mieć znaczenie rozstrzygające dla losów Europy.

Pertinax w „Echo de Paris":

Dość platonicznych protestów! Hitlerowcy nie cofną się przed żadną siłą brutalną, nie powstrzyma ich groźba przekroczenia granicy austrjackiej przez wojska włoskie i czeskie. Czy Mussolini zdecyduje się wreszcie działać?

Jest rzeczą jasną jak słońce, że po swym wspaniałym triumfie 30 czerwca Hitler szuka dywersji nazewnątrz. Sukces na terenie polityki zagranicznej, a zwłaszcza Austrji, istotnie przydałby mu się dziś więcej, niż kiedykolwiek.

„Temps": — Po tragedji 30 czerwca — tragedja 25-go lipca... — Narodowy socjalizm, gdyż to w jego imieniu dokonuje się tylu zbrodni po świecie, lubi przypominać o swej egzystencji zapomocą gwałtów i rozlewu krwi. Tragiczny koniec Dollfussa jest czemś więcej, niż zwykłą zbrodnią polityczną. Wraz z wypadkami 25 lipca zaczyna się coś nowego dla Austrji i być może dla Europy, coś tak bardzo poważnego, że wymaga największej czujności nietylko rządów lecz i narodów". W tę tak naelektryzowaną atmosferę padł nowy grom — śmierć Hindenburga. Nie ulega wątpliwości, że tego prostolinijnego żołnierza, dobiły ostatnie machinacje hitlerowskie. Stary wiarus niebardzo mógł się pogodzić z „manjerami" Führera, to było coś powyżej jego żołnierskich zasad, więc ustąpił do... grobu. A Hitler przez zręczny coup de loi zamianował siebie prezydentem Rzeszy. Jesteśmy w tej chwili w punkcie kulminacyjnym karjery Hitlera. Ten młody 43-letni dyktator ma władzę potężniejszą od cesarza. Jest panem życia i śmierci 65 miljonów Niemców i cieniem swej potęgi zawisł niby chmura gradowa nad Austrją, próbująca się przebudować w myśl katolickich zasad.



Stół, na którym podpisano traktat wersalski

Z tej chmury otaczającej czoło niemieckiego Goljata padł już piorun i zabił austrjackiego Dawida. Nie pozostanie to bez konsekwencyj. Zdaje się, że w najbliższym czasie będziemy świadkami decydujących rozgrywek. Goljat na czele Filistynów wkroczy w pozbawione wodza ziemie. Co z tego wyniknie?!...

W dwudziestą rocznicę wybuchu wojny powszechnej nietrudno o różne reminiscencje i analogje, naładowane dynamitem niepewności. Zwłaszcza, że nie brak okoliczności, sprzyjających nastrojom alarmowym i że, istotnie, dymią te same wulkany, które wówczas dały hasło do powszechnego wybuchu. Jednym z tych wulkanów jest Austrja, podminowana jak ongiś przed 20-stoleciem i zdruzgotana strasznym ciosem, zabójstwem Dollfussa, jak ongiś zamordowaniem arcyksięcia w Sarajewie. Oczywiście sytuacja uległa dziś o tyle zmianie, że osłabiona Austrja nikomu nie będzie wypowiadać wojny. Poprostu, pewnego pięknego poranka może się znaleźć pod okupacją hitlerowską. Jedno tylko nie uległo zmianie. Zły duch i zły los Austrji rezyduje wciąż w Berlinie. O ile przedtem Berlin podszczuwał Austrję do wojny, o tyle teraz czycha wprost na nią. Oczywiście niełatwo mu się rzucić, niełatwo wykonać drapieżny skok. Ale że chce go wykonać, to jest pewne, że gotuje Austrji nową Sadowę — to fakt. Cóż stoi na przeszkodzie?

Potęga militarna i polityczna Francji, skoncentrowane na granicy austrjackiej dywizje włoskie i gotowe do interwencji wojska Małej Ententy stoją na przeszkodzie, aby Wiedeń nie stał się nowem Sarajewem.

Niedwuznacznie przyznał to sam ks. Starhemberg, mówiąc że Włochom Austrja zawdzięcza, iż śmierć Dollfussa nie stała się początkiem jej końca. A więc bagnety a nie pakty, traktaty i genewskie fotele bronią status quo w Europie. Tak, jak sprawy stoją musimy sobie powiedzieć, że Anschluss to wojna. Przyłączenie Austrji do Niemiec stanowiłoby bezpośrednie zagrożenie Czechosłowacji. Niemcy zajęłyby w Europie Środkowej stanowisko tak dominujące, że mogłyby dyktować swą wolę niemal bez przeszkód.

W planach niemieckich, Anschluss stanowi pierwszy etap polityki, obejmującej swym zasięgiem cały wschód Europy. O tem przedewszystkiem myśli się w Niemczech, skoro się mówi, że pretensje terytorjalne do ziem polskich zostaną załatwione w innej drodze. Następnym etapem ma być atak na Pomorze i Śląsk. Do czasu tylko skierowanie głównego prądu ekspansji niemieckiej w koryto austrjackie jest dla nas korzystne, bo odciąga uwagę Niemiec od granicy wschodniej. Z każdym krokiem w kierunku Anschlussu zwiększa się potencjalnie niebezpieczeństwo i zbliża się chwila bezpośredniej groźby.

Nie należy jej się ulęknąć, nie należy przesadzać w jej ocenie, ale nie wolno jej nie zauważyć, nie wolno zapominać, jaki jest zasadniczy tok polityki niemieckiej, wytkniętej przez Stressemanna i zręcznie przezeń zawoalowanej. Chwilowo cofać Niemcy poczęły się pośpiesznie wycofywać na całej linji. Świadczy o tem odwołanie posła niemieckiego, złożenie z urzędu Habichta, a przedewszystkiem mianowanie von Papena posłem w Wiedniu. List Hitlera do von Papena stanowi wyraźną ofertę pokojową kanclerza Rzeszy pod adresem Austrji.

TURECKIE HUMORESKI

W r. 605 ery muzułmańskiej urodził się znakomity humorysta turecki Nasr-ed-Din Hodża, który pozostawił po sobie szereg wesołych i ciekawych opowieści. Parę z nich umieszczamy w polskiem tłumaczeniu Wassan-Girej Dżabagi. Niechaj stanowią one próbę tureckiej pogody.

Nasr-ed-Din dzieli orzechy według praw boskich i świeckich.

Pewnego dnia dzieci złożyły się i kupiły orzechów. Gdy zajęte były podziałem orzechów, zauważyły przechodzącego Nasr-ed-Din Hodżę. Uradowały się bardzo, widząc swego dowcipnego nauczyciela, i prosiły go o sprawiedliwe podzielenie orzechów między niemi.

Nasr-ed-Din Hodża zapytał:

— A jak, dzieci, chcecie, żebym was podzielił: według praw boskich, czy świeckich?

— Naturalnie według praw boskich! — krzyknęły dzieci.

Nasr-ed-Din Hodża dał wtedy kilka garści orzechów jednemu z dzieci, a drugiemu kilka orzechów; następnie garść orzechów trzeciemu dziecku, pół garści innemu itd.

Dzieci, które otrzymały zamało, zaczęły narzekać na niesprawiedliwy podział:

— I to ma być sprawiedliwość boska? — wołały.

Nasr-ed-Din odparł na to:

— Czyż nie wiecie, dzieci że Bóg obdarza bardzo nierówno ludzi: jednemu daje zadużo, a drugiemu zamało.

— A jakby było, gdybyś dzielił nas według praw świeckich? — zapytały dzieci.

— O — odpowiedział Nasr-ed-Din Hodża — gdybym dzielił was według praw świeckich, to postąpiłbym tak, jak kadi (sędzia), to znaczy nicbym wam nie dał, lecz wszystko zostawiłbym sobie.

Nasr-ed-Din Hodża częstuje swój płaszcz.

Nasr-ed-Din Hodża, bawiąc w obcej wsi udał się do jakiegoś włościanina na wesele, licząc, że go tam dobrze ugoszczą.

Gdy wszedł do pokoju, w którym zasiadali przy stole zaproszeni goście, nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na przybysza. Hodża, zdziwiony tym faktem, zauważył, że zapomniał włożyć na siebie odpowiednie ubranie. Udał się więc natychmiast spowrotem do domu, narzucił na siebie swój kosztowny płaszcz i wrócił na wesele.

Tym razem przyjęto go bardzo gościnnie, usadowiono przy stole wśród honorowych gości i częstowano uprzejmie.

Przy pierwszem daniu Nasr-ed-Din Hodża włożył odrazu rękaw swego płaszcza do zupy.

Gdy go zapytano o przyczynę tego niezwykłego postępku, Hodża najspokojniej w świecie odpowiedział:

Muszę najpierw nakarmić swój płaszcz, bo jemu jedynie zawdzięczam wspaniałe przyjęcie, jakiego doznałem w tym domu.

Środek na myszy.

Nasr-ed-Din Hodża zapragnął zająć się handlem. Natłukł cegły na proszek, rozsypał ten proszek w woreczki i ruszył w świat sprzedawać rzekomo wynaleziony przez siebie „środek na myszy".

Po wsiach baby chętnie kupowały proszek i handel szedł znakomicie, dopóki jedna z klientek nie zapytała Hodży o sposób użycia proszku.

— Bardzo prosty — odpowiedział Hodża. Należy złapać myszkę i wsypać jej proszek w nozdrza.

— E odpowiedziała kobieta — gdy złapię myszkę, to mogę zabić ją i bez twego proszku!

— Bardzo dobrze — odparł Hodża — bo na tem dużo zyskasz: oszczędzisz bowiem proszku.

Co pożyteczniejsze: słońce, czy księżyc?

Tamerlan podczas swego pobytu w Ak-Szehirze, ojczyźnie Nasr-ed-Dina Hodży, nieraz zadawał mu różne pytania, aby wypróbować sprawność jego umysłu. Między innemi, zapytał:

— Jak myślisz, Hodża effendi, co jest pożyteczniejsze dla ludzi: słońce czy księżyc?

— Księżyc, mój padyszachu, księżyc!

— A jakże ty to udowodnisz?

— Bardzo prosto, mój padyszachu. Jak wiadomo, słońce wchodzi dopiero wtedy, kiedy już dnieje. Wtedy właściwie słońce jest zbyteczne. Natomiast księżyc ukazuje się dopiero wtedy, jak ściemni się i darzy nas swem światłem niekiedy w taki sposób, że noc przekształca w dzień. Zatem większy pożytek mamy z księżyca.

JOSEPH CONRAD: W oczach Zachodu. Powieść, tłumaczyła z angielskiego H. J. Pajzderska (Hajota). Wydanie drugie, str. VIII + 400. Z przedmową autora, tłumaczona przez A. Zagórską. Wyd. Domu Książki Polskiej.

W przedmowie do powieści Conrad pisze: „Trzeba przyznać, że poprostu siłą rzeczy „W oczach Zachodu" stało się czemś w rodzaju historycznej powieści.

Powyższa uwaga odnosi się wyłącznie do wątku opowiadania, bowiem w książce tej usiłuję przedstawić nietyle polityczne położenie, co zasadniczą psychologję Rosji; dlatego też pozwalam sobie żywić nadzieję, że „W oczach Zachodu" nie przestało być interesujące. W tem pochlebnem dla mnie przekonaniu utwierdza mnie fakt, iż autorowie wielu artykułów o współczesnych sprawach rosyjskich powołują się na niektóre powiedzenia i poglądy zawarte w niniejszej książce, a powołują się w sposób świadczący o mym przenikliwym wzroku i trafnym sądzie. Nie potrzebuję stwierdzać, że, pisząc tę powieść, zamierzałem tylko przedstawić obrazowo zasadniczą prawdę, która jest podłożem akcji oraz wyrazić szczerze jak się odnoszę do moralnej strony pewnych faktów, znanych mniej lub więcej dokładnie całemu światu.

Co się tyczy powstania tej książki, mogę powiedzieć, iż w chwili, gdy zacząłem ją pisać, miałem w głowie wyraźne pojęcie tylko o pierwszej części, z występującemi plastycznie trzema postaciami: Halbina, Razumowa i radcy Mikulina. Dopiero po skończeniu tej części całość objawiła mi się w całym tragizmie; ujrzałem bieg nieuniknionych wypadków w szerokim zasięgu, dającym wolne pole twórczemu instynktowi i dramatycznym możliwościom tematu".

I dalej w tej przedmowie autor wyjaśnia przebieg akcji oraz genezę powstania tego jedynego w swoim rodzaju utworu, poświęconego zagadnieniu psychologji Rosji. Pierwsze polskie wydanie „W oczach Zachodu" pozbawione było przedmowy autora, którą dopiero obecnie, w wydaniu drugiem wprowadziła w swym przekładzie Aniela Zagórska, co dla czytelnika ma pierwszorzędne znaczenie.

Z PIŚMIENNICTWA

S. TERESA KALKSTEIN wydała świeżo życiorys s. Zofji Czarneckiej, zmarłej w 1926 r. Książka ta p. t. Zmartwychwstanka — licząca 400 str. i kilkanaście fotografij, dzieli się na trzy części: 1) W rodzinie i wśród świata, 2) W Zgromadzeniu, 3) Na odlocie.

I-sza część najbogaciej ilustrowana przedstawia nam małą Zosię, ukochaną córkę pp. Czarneckich, wzorową uczennicę pensji p. Plater w Warszawie, słuchaczkę kursów pedagogicznych.

W części tej widzimy namacalnie, czem jest chrześcijańskie wychowanie, tak w cnotliwej rodzinie, jak hołdującej szczytnym ideałom szkole. W tej górnej atmosferze rozwija się Zochna jak kwiat w promieniach słońca.

1-sza Komunja św., lekcje religji, rekolekcje szkolne, Sodalicja — to potężne dźwignie dla budzącego się życia nadprzyrodzonego, do którego wszyscy mocą chrztu św. jesteśmy powołani. Głównym rysem Zofji — to miłość tkliwa i dziecięca dla rodziców — jędrna i wierna dla koleżanek. Miłością obejmuje budzącą się ku wolności Ojczyznę; kocha przyrodę i sztukę, wrażliwa jej dusza odczuwa piękno — kocha wiedzę i oddaje się jej z zapałem, — ale ponad wszystkich i wszystko kocha Boga i szuka drogi do najściślejszego z Nim zjednoczenia. A zjednoczenie to pojmuje nie jako egzaltację uczuć czy bezpłodne filozofowanie o rzeczach najświętszych, ale jako pełnienie tego, czego Bóg wymaga nietylko przez swe prawo, zawarte w Dekalogu, nietylko przez nakazy zastępców swoich, ale przez głos cichy i tak potężny sumienia. Ten głos ukazuje drogi powołania odmienne dla każdej duszy. I siostra jej usłyszała głos powołania do życia w rodzinie podobnież i brat, a ona mimo, że żyje wśród najbardziej idealnej rodziny, mimo, że świat ją darzy wielkiemi ponętami i mogłaby mieć własną rodzinę — słyszy wyraźnie, że „wszystko zostaw jeśli chcesz być prawdziwie szczęśliwą". O! bo o ile dusza powołana do małżeństwa osiągnie sumę największego szczęścia, dzieląc dolę z ukochanym człowiekiem i dając życie dziatkom, o tyle dusza powołana do zakonu tego szczęścia nie znajdzie. A przecież rodzice chcą szczęścia dziecka. I dlatego pp. Czarneccy nie sprzeciwiają się córce i z błogosławieństwem i wdzięcznością oddają ją Bogu, który ma to prawo do człowieka. Zofja wstępuje do SS. Zmartwychwstanek w Kętach. Po decydujących o jej losie rekolekcjach napisze do matki słowa tak bardzo charakteryzujące ten okres jej życia: „Matuchno, czy może być coś wznioślejszego nad życie z Chrystusem Panem: nosić Go w sercu swojem, kochać, cierpieć i radować się dla Niego, a przez wyniszczenie swojej woli, dzięki łasce z miłości i miłości z łaski żyć pod hasłem nie ja, ale Bóg mój!

Matuś moja! jestem w przededniu nieba".

* * *

W II-giej części książki poznajemy zwyczaje i ducha Zgromadzenia SS. Zmartwychwstania Pańskiego, którego Zofja staje się wcieleniem.

Ktoś nazwał zmartwychwstanki córami radości, i rzeczywiście Zofja żyje wśród atmosfery pełnego wesela, którego nie przygasza ani skrajne ubóstwo, ani różne trudności, związane z życiem apostolskiem i wspólnem.

Czy jako postulantka zajęta lekcją czy jako nowicjuszka, spędzająca długie godziny na modlitwie, czytaniu reguły i dzieł ascetycznych, czy wreszcie jako profeska w domu warszawskim przy ulicy Sewerynów 5b, zawsze jest skupiona, pogodna uśmiechnięta, pełna słodyczy w obejściu, wylana dla drugich, a zawsze zatopiona w Bogu. Dość spojrzeć na jej fotografję, na wyraz jej oczu, by zrozumieć, że obrała sobie właściwą drogę.

Pan Bóg ją darzy wielkiemi łaskami, przemawia w głębi duszy i prowadzi drogą wybranych.

Słowa słyszane na modlitwie spisuje wiernie na rozkaz spowiednika, a z tych słów możemy wywnioskować do jakiego stopnia była miłą Bogu. Słowa te chowa w głębi duszy i jest im wierna — nie cofa się przed żadną ofiarą i kroczy coraz wyżej.

Miłość potęgująca się na modlitwie przelewa na uczennice.

S. Zofja posiadała wybitne zdolności pedagogiczne, wykładała język polski i historję pedagogji. Z całem przejęciem się i namaszczeniem przystępowała do pracy. — Postępowanie jej cechowała energja, połączona ze słodyczą i łagodnością; stanowczość obok wyrozumiałości, a nadewszystko duch Chrystusowy.



M. Sieraczyńska — Zwiastowanie

Każdą wolną chwilę poświęcała dziewczątkom, czuła się za nie odpowiedzialną i modlitwa za wychowanki stała się dla niej ścisłym obowiązkiem. Lekcja jej każda była twórczą, jakoby grą wirtuoza. Młodzież ją kochała i ceniła i w oczach się zmieniała pod jej kierunkiem; ale też ile ona modlitw zanosiła do Boga za swe ukochane owieczki.

Miłością obejmuje i tych, z którymi studjuje na uniwersytecie ścisłą filozofję, stara się dobrem słowem, usługą uśmiechem przygarnąć do Boga i pobudza do refleksji nawet najmniej wierzących.

Nastąpiła choroba, której objawy już w dzieciństwie niepokoiły rodziców, wybucha z całą siłą i powala Zofję na łoże boleści. Przez kilka miesięcy walczy młody organizm z śmiercionośną infekcją, niestety ulega i Zofja umiera w 26-tym roku życia w Zakopanem.

O tem pisze część III-cia. Tu poznajemy najgłębsze stany wewnętrzne, przez które Pan Bóg przeprowadza jej duszę a zarazem ducha miłości, jaki panuje w Zgromadzeniu. Ci wszyscy, którzy tak mylne pojęcia mają o zakonach, dowiadują się, jakiem sercem i staraniem otaczają chorą siostrę, co przypomina miłość pierwszych chrześcijan. Życie Zgromadzenia jest tak pełne prostoty, naturalności przy całej podniosłości ducha, że czyta się to jednym tchem.

W chorobie okazują się też wielkie cnoty s. Zofji: cierpliwość męstwo, pogoda, niemal radość z cierpienia. Rozumie cenę jego w ekonomji Bożej — z posłuszeństwa się leczy, jedzie do Zakopanego, ale tęsknota porywa ją w zaświaty.

Ani w chorobie, ani w opisie śmierci nie mamy nic z nadzwyczajności żadnej egzaltacji, których tyle zwykle w przeciętnych życiorysach.

Na śmierć gotowała się od lat wielu, zawsze tak starała się postępować, by móc stanąć przed Panem. W wierszach jej i zapiskach wyczytujemy, że śmierci się nie lękała, ale uważała za chwilę szczęścia spotkanie się z Bogiem. I taką też była jej ostatnia chwila.

Wszystko to jest słabem echem tego, co bardzo pięknie, głęboko i z wielką erudycją opracowała s. Teresa Kalkstein, świadek jej życia zakonnego.

Książkę zdobią liczne fotografje, a najwyższą jej pochwałą jest słowo wstępne ks arcybiskupa Teodorowicza, który wysoko cenił s. Zofję.

„Wielokrotnie stykałem się z s. Zofją — pisze dostojny autor — życie jej było rwaniem się ku Bogu, ale to było okupione przez nią prawdziwie heroiczną, ustawiczną wiernością, przemyślną i ofiarną.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

A teraz wśród tego wszystkiego cóż powiem? Panie! bądź wola Twoja. Jam bardzo zasłużył na ucisk i utrapienie. Trzeba więc ze wszechmiar, abym je znosił; oby tylko cierpliwie dopóki burza nie przejdzie i nie nastąpi czas lepszy! Albowiem wszechmocna Twa ręka i tę pokusę ode mnie oddalić, albo ją pohamować może, ażebym nie upadła: tak jak i wprzódy czyniłeś to ze mną. Boże mój, miłosierdzie moje!

A im dla mnie trudniejsza, tem dla Ciebie łatwiejsza ta odmiana: która jest dziełem prawicy Najwyższego.

Tomasz à Kempis.
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

POWÓDŹ

Cały kraj jest pod wrażeniem klęski, jaka go nawiedziła.

Powódź!

Ten straszny żywioł, który z nieprzepartą siłą, hukiem, gwałtem napada, niszczy, zabiera wszystko, co na drodze swej spotyka, tratuje, uśmierca, zostawiając poza sobą tylko — nieszczęście i zagładę dla wszelkiego ludzkiego dorobku, a dla biednego człowieka, obezwładnionego, rozpacz i rąk łamanie.

Miljon ludzi, conajmniej, bez dachu, bez chleba i często bez najdroższych, których fala, w swym szalonym pochodzie, chwytała i chłonęła.

Ile tragedyj, ile łez, ile ran w sercach.

Plonu zniszczonego nie uratujemy. Zmarłych nie wskrzesimy. Ale rany leczyć umiemy i leczyć je będziemy wszyscy.

Od pierwszej wieści — wartkim prądem płyną dary pieniężne, składają ludzie paczki z ubraniem, deklarują ziarno, pożywienie, drzewo, cegłę, żelazo i cement na budowę nowych chat.

Apteki oddają bezpłatnie środki lecznicze. Doktorzy nie odmawiają swej pomocy. Setki komitetów, zawiązywanych na szlakach terenów klęską dotkniętych, gromadzą dzieci, aby je żywić. Pism naszych, szpalty całe, zaznaczają ludzką ofiarność dla ludzkiej niedoli.

Nie apelujemy też do naszych Czytelników o danie swej pomocy, bo jesteśmy pewni, że każdy złożył, już swą daninę. Ale proponujemy, abyśmy wszyscy rozszerzali hasło — **pomocy stałej bodaj przez kilka miesięcy.** Ofiary płyną znaczne, ale i z małych cyfr, rosnąć mogą duże liczby. Kto nie może dać stu złotych, niech da sto groszy, byle **co miesiąc.** Najlepszy rachmistrz nie jest w stanie obliczyć dziś jeszcze ani strat, ani potrzebnych sum na ich wyrównanie, bodaj częściowe. Ale nawet ten, który liczyć nie umie, wie już napewno, że tylko zbiorowy wysiłek skutecznie działać może. Że tylko **stała pomoc** wszystkich — dla wszystkich skrzywdzonych przez nieubłagany żywioł, będzie nietylko materjalnie skuteczną. Będzie krzepiła i moralnie tych nieszczęśliwych, których los od tej **stałej** o nich pamięci będzie zależny.

Są miljony poszkodowanych, obdartych do cna, ale więcej jest miljonów, których Bóg od nieszczęścia uchronił.

Nieśmy więc w podzięce za swój spokój — pomoc tym, którzy w tej chwili w niepokoju o chleb dla dzieci żyją.

L. K.

PIĘKNA MYŚL I PIĘKNE JEJ URZECZYWISTNIENIE

Zjazd Polaków z poza granic Rzeczypospolitej, zrodził się w duszach ludzi wyjątkowych, pp. Lenartowicza i Szwedowskiego, którzy, pracując cicho, tworzą tak głośne chwile, w naszem społecznem życiu, że echa ich odbijają się na całym obszarze świata.

Takie chwile przeżywaliśmy wszyscy w sierpniu, kiedy Sejm otworzył szeroko swe podwoje dla setek delegatów, wysłanych przez ośm miljonów naszych rodaków, rozsypanych jak piasek morza wśród obcych, a przybyłych, aby stwierdzić swą pryznależność do Polski.

Nigdy napewno mury sejmowej izby nie słyszały tyle razy powtarzanego wyrazu: narodowy, narodowego, narodowemu, odmienianego na wszystkie przypadki, który stwierdzał jedno tylko uczucie: miłość kraju i pragnienia jego rozkwitu w łącznych o to staraniach.

Pokolei stawali wysłańcy polscy: z Ameryki, Francji, Niemiec, Belgji, Danji, Holandji, Szwecji,

Włoch, Austrji, Łotwy, Czechosłowacji, Litwy, Jugosławji, Rumunji, Węgier, Afryki, Australji, Szanghaju, Harbina, Urugwaju i t. d., aby stwierdzić, że będąc lojalnymi obywatelami krajów, które ich gościnnie przyjęły, które dają im pracę, byt, nierzadko dobrobyt i stanowisko wpływowe, nie przestają czuć się Polakami i interesować się wszystkiem co złączone z rozwojem naszego Państwa. Czuć się dumnymi, że są dziećmi kraju, który po bohatersko przebytem wieku niewoli, okupując to krwią walczącego Polskiego Żołnierza, znów szczyci się Rzecząpospolitą Polską, silną i wolną już na wieki.

Atmosfera Zjazdu była też serdeczna. Stanowiliśmy wszyscy, naprawdę jedną rodzinę. Jednako płynęły myśli, jednem tętnem biły serca. Jednocześnie zrywały się tysiące rąk do oklasku, witając szeregi Wojska Polskiego, którego Rewja, rozpoczęta Mszą św. polową, była imponująca, ładem, składem i tą dziarskością a tężyzną naszego żołnierza.

A już kiedy wrośnięci z koniem w jedną całość, ruszyli kawalerzyści, nietykając, zda się ziemi w skoku, entuzjazmu nie ochłodził ni na chwilę nawet deszcz, który lunął, widocznie po to, aby stwierdzić, że w sercach było tyle żaru wewnętrznego, że stłumić go nie mógł nawet żywiołowy zimny potok z góry płynący. Nikt się nie chował, nie uciekał. Wszyscy zapatrzeni w szeregi karnie maszerujące.

Niebo się też szybko wypogodziło, a w godzinach popołudniowych Marszałek Senatu Raczkiewicz podejmował gości zagranicznych w parku sejmowego gmachu. Porozstawiane pod drzewami stoły z poczęstunkiem, barwne na murawach włościaństwo w pięknych strojach, Łowiczanie, Sieradzanie, Kurpie i Huculi, ich zespoły muzyczne i tańce ochocze budziły prawdziwe zachwyty. Uroczyste posadzenie dębu, rozpoczęte rzuceniem pierwszej szpadli ziemi przez pana Marszałka, za którym poszli wszyscy obecni delegaci, było utwierdzeniem polskiego obyczaju przy uroczystościach narodowych.

Wieczór, Teatr Wielki — dał przedstawienie nad którego treścią czuwała Polska Akademja Literatury, kierownictwo artystyczne objął dyrektor Teofil Trzciński, część dekoracyjną, prof. Józef Wodyński. Program w szerokich rzutach, dał ważne momenty naszej historji. Rycerstwo polskie z pieśnią: „Boga Rodzico — Dziewico” — idzie ze skrzydlatą husarją w przepychu szat, rumaków, proporców — na boje. Fragment dramatu Lucjana Rydla, do którego dał muzykę Tadeusz Jotejko, głoszący tekst wiekopomnej Unji Litwy z Koroną, przeprowadzonej przez króla Zygmunta Augusta, w imię hasła: „Wolni z wolnymi, równi z równymi”.

Dalej piękny obraz katedry, w której rozbrzmiewa „Kazanie sejmowe”, księdza Piotra Skargi, głoszone po mistrzowsku przez usta Ludwika Solskiego. Obraz rynku w Krakowie, a na nim sławna przysięga Kościuszki, którą cudnym głosem i głębokiem odczuciem świętości chwili, dał słuchaczom znakomity artysta Józef Śliwicki. Potem Wybickiego: „Mazurek Dąbrowskiego”, narodowy klejnot, zaklęty w pieśń Legjonów naszych we Włoszech. „Księdza Piotra widzenie z „Dziadów” Mickiewicza, głosi z powagą artysta Karol Adwentowicz. „Modlitwę Konrada” z „Wyzwolenia Stanisława Wyspiańskiego, mówi Wacław Nowakowski wspaniale. Czuje się w jego intonacji, to tchnienie wielkiego poety, jakiego tradycje umieją zachować artyści Teatru Krakowskiego. Jeszcze „Pieśni Legjonowe”. Słowa Wodza” z pism i rozkazów Marszałka Józefa Piłsudskiego. Fragment z „Wiatru od morza”, Stefana Żeromskiego. I przepięknie powiedziane strofy z „Pana Balcera” M. Konopnickiej, przez Marjana Maszyńskiego: „Idziem do ciebie, Ziemio. Matko nasza”. A słowa i gest przy nich: „nietylko liczba my ale i siła”, musiały zostawić we wszystkich niezatarte wrażenia. Dzień uroczysty zakończyło to świetne przedstawienie, przynoszące chlubę wszystkim, w równej mierze inicjatorom i wykonawcom. Odtwarzało ono skarby naszych natchnień poetyckich, naszych talentów twórczych, naszych duchowych dorobków i ich wartości, a stwierdzało przeogromną miłość i dla świętej sprawy, którą szczepili w duszach, nas maluczkich — nasi Wielcy. Ona właśnie dawała nam wiarę w moc wytrwania, krzepiła nadzieję przez wiek niewoli i za to niech Im będzie po wieki — chwała.

L. Kotarbińska.

KONFERENCJA KOBIECA NA ZJEZDZIE POLAKÓW Z ZAGRANICY

Konferencja kobieca, zapowiadana przed Zjazdem Polaków z Zagranicy nie odbyła się w należytej ramie. Nie były zupełnie wezwane organizacje, pracujące choćby w Warszawie. Niebyło ani „Narodowej Organizacji Kobiet”, ani „Stowarzyszenia Ziemianek”, ani „Koła Kobiet Katol.”, ani „Dźwigni”, Zw. Zaw. Rękodzielniczek, słowem, zebranie było, zupełnie niesłusznie w zamkniętem kole. Szkoda, bo to właśnie była chwila do wzajemnego zbliżenia się, poznania i omówienia niejednej ważnej sprawy. Konferencji „poufnej” przewodniczyła p. redaktorka „Głosu Polek” i Stowarzyszenia Polek w Ameryce, które liczy 60 000 członkiń, p. Marja O. Kryszakowa z Chicago. Pełna umiaru, rozwagi i szybko orjentująca się, opanowała z miejsca zebranie, które „według zwyczaju przyjętego u nas, w Ameryce” zaczęła modlitwą. Rezultatem obrad trwających przez dwa dni po trzy godziny, było uchwalenie konieczności stworzenia przy „Radzie Organizacyjnej Polaków z Zagranicy” oddziału kobiecego, oraz przystąpienie i propagowanie Wszechświatowego Związku Polaków, na wszystkich terenach, na których żyją i pracują Polacy. P. Pełczyńska zaznajamiała zebrane z działalnością jednego odłamu kobiet podczas wojny, dając chlubny obraz ich pracy i poświęceń, wśród strasznej zawieruchy, towarzyszącej powstawaniu naszej wolności. P. posłanka Jaworska, mówiła o obowiązkach kobiety-obywatelki, jej cnotach i zaletach w stosunku do kraju. Obecne, przybyłe ze wszystkich stron świata: Z Ameryki Północnej i Południowej, bo z Kanady i Detroit, Chicago i Nowego Jorku, z Belgji, Francji, Szwecji i t. d., stanowiły już gotowy dokument tych wszystkich warunków, które pełnić nasza kobieta na obczyźnie, winna. One właśnie, zrodzone w znacznej części na obcej ziemi, zachowały wiarę, obyczaj i język polski, jakim władają i same i ich dzieci doskonale. Referat posłanki Jaworskiej był pięknie opracowany. Dźwięczała w nim serdeczna nuta miłości wszystkiego co nasze — polskie, co wszystkie kochamy, i czemu wszystkie w godzinie potrzeby, gotowe zawsze jesteśmy dać życie.

L. R.

DLA SAMOTNYCH KOBIET CICHA PRZYSTAŃ

Z całą życzliwością witamy organizację, która ma na celu stworzenie **Domu,** dla tych kobiet, które go nie mają, a którym on niezbędny do egzystencji. Samotność, a jeszcze więc osamotnienie, to największa klęska starości. Zapobiec temu pragnie: „Komitet Organizacyjny „1-go Koła Imienia Wandy Malczewskiej", tworząc **„Dom"**, w którym, jak piszą w przesłanej nam notatce, „chcą stworzyć wspólne życie dla samotnych, inteligentnych, jednym duchem ożywionych kobiet".

„My", mówią, „zwracamy się do Was, pracujących, a nie mających własnych ognisk, abyście powiększyły nasze grono, czy to przez ofiarowanie swej pracy, inicjatywy i energji, czy przez zasilenie naszej kasy funduszem na cele nam przyświecające, czy zamieszkaniem z nami. Niech kobiety samotne nie tułają się wśród obcych, lecz w gronie losem złączonych, znajdą współżycie, hołdując hasłu: wszystkich dla jednej, a jednej dla wszystkich".

Inicjatywa godna poparcia, znajdzie niezawodnie oddźwięk wśród kobiet samotnych.

HAFT LUDOWY W KRZEMIEŃCU

Któż z Polaków i Polek nie słyszał o sławnym niegdyś Krzemieńcu na Podolu, w którego murach założone było pierwsze liceum polskie? Młodzież szlachecka z licznych dworów polskich garnęła się do tej uczelni, by czerpać w niej światło nauki, dobrych obyczajów i wiedzy wszelakiej.

Zjeżdzały tam liczne dwory ze swą młodzieżą, moc służby strojnie przyodzianej, nic więc dziwnego, że i na ludzie wiejskim w okolicy Krzemieńca znać było wyższą kulturę.

Lud był tam dosyć zamożny, gospodarstwa dostatnie, była więc możność ubierania się w piękną odzież i bieliznę.

Kobiety wiejskie z całem zamiłowaniem zdobiły haftem swe stroje. Szerokie wyszycia krzyżykowe w barwach czerwonej i czarnej, lub czerwonej i niebieskiej przystrajały nietylko koszule i fartuchy, lecz również obrusy na stoły i skrzynie, oraz długie na dwa metry ręczniki, które oddawano do kościoła na ofiarę.

Na takim długim pasie płótna lnianego wyszywano przeróżne węższe i szersze wzorki w których dopatrzeć się można całej historji wpływów i umiłowań. Oto widzimy na fotografji wzór krzyżykowy, złożony ze sztywno stojących kwiatów z liśćmi, a w rozgałęzieniu jakby korona, czy mitra z krzyżykiem.

Drugi wzór poniżej, przedstawia się znów jak czerwono-złocista frędzla z kwiatami, zdobiąca baldachim w kościele.

Czyż nie widać w tem przepychu baroku lub renesansu? Zwłaszcza naprowadzają na tę myśl lecące między kwiatami ptaki z koroną na główkach.

Dolny brzeg tego ręcznika kończą sztywnie stojące na linijce ptaszki. Jużto w zdobnictwie ludowem we wszystkich jego przejawach i we wszystkich prawie okolicach jest zamiłowanie do rzeźbienia i wyszywania ptaków w przeróżnych pozycjach i formach.

Na ręczniku tym widzimy cztery paski wzorów mogących przystroić tak modne tego roku suknie i sukienki ze samodziału białego, lub szarego w różnych odcieniach.

Wzorki te wyszywane są czarną i czerwoną nitką, przeważa jednak nić czerwona, a możemy ją stosować dowolnie, gdyż częstokroć ten sam wzór bywa odmienny w dobraniu kolorów, Naprzykład na wzorze z frędzlami były wiszące niteczki czarne, kwasty zaś czerwone, przyczepione do czarnej linijki i czarnych kwadracików, na innym zaś odwrotnie.



Wyszycie z okolic Krzemieńca

Widać w nich odmienny gust hafciarek, nigdy jednak nie wyszywają w ten sposób, by zasadniczym kolorem był czarny, lecz zawsze dominuje czerwony, a ozdobniki i podkreślenia robione są czarną nitką.

Puśćmy zatem i my wodze fantazji, lecz zatrzymajmy oryginalne barwy czarną i czerwoną, lub czerwoną i siną.

Marja Stefkowa.

PIĘKNY CZYN

Harcerze rozpoczęli pracę przy budowie Bazyliki Morskiej.

Za „Kurjerem Warszawskim" powtarzamy radosną wiadomość, świadczącą o nastroju ducha dzielnej naszej młodzieży. Brzmi ona jak następuje:

Drużyna Harcerzy im. Kilińskiego z Brześcia n. Bugiem rozpoczęła pracę przy budowie Bazyliki Morskiej w Gdyni. 30 ogorzałych chłopców z zawiniętemi rękawami, z łopatami w dłoni zabrało się do robót ziemnych w miejscu, gdzie ma stanąć Bazylika Morska.

Każdy harcerz pracować będzie 6 godzin. Drużyna da więc razem 200 godzin ofiarnej pracy.

Przed rozpoczęciem robót harcmistrz Bolesław Polkowski, inicjator tej akcji zgłosił gotowość harcerzy do pracy wobec członków komitetu budowy bazyliki z p. kpt. Chlebowskim na czele. Członkowie komitetu z uznaniem przyjęli inicjatywę i ofiarną pracę młodych harcerzy.

Przykład godny naśladowania niewątpliwie spowoduje dalsze zgłoszenia do pracy nietylko harcerzy, lecz i innych organizacyj miejscowych i zamiejscowych, przebywających na wycieczkach. Dowiadujemy się, że Drużyna Harcerzy ze Śląska, obozująca w Gdyni, w najbliższych dniach przystąpi do pracy.

WYDAWNICTWA KSIĘŻY PALLOTYNÓW

Czytelnikom naszym polecić możemy starannie redagowane pisma, które w każdym polskim domu z pożytkiem znaleźć się powinny:

„Posiew" tygodnik katolicki, z działami celowo opracowanemi równie dla miast jak i dla wsi.

„Rodzinę Polską", miesięcznik, której ocenę i sąd o naszej pracy zostawiamy ale i polecamy naszym Szanownym Abonentom.

„Małego Apostoła", pismo dla dzieci, w którem każde dziecko znajdzie dla siebie całe szeregi zajmujących opowieści, ładnych wierszyków, bajek i zagadnień, jakże bardzo ułatwiających Matkom — pożyteczne z dzieckiem spędzenie czasu. „Mały Apostoł" jest cały, jednym wyrazem umiłowania naszej dziatwy, nic też dziwnego, że dziesiątki tysięcy małych Czytelników oczekuje na swe pisemko co miesiąc, i że liczba ta wzrasta z każdym dniem. Prenumerata kosztuje tylko 1 zł. 70 gr. rocznie.

„Królowa Apostołów", organ Stow. Misyjnego, zaznajamia nas z działalnością księży misjonarzy tam, gdzie jeszcze światło wiary szerzyć trzeba w trudzie wielkim ale i wielkim charakterem misjonarzy, aby te trudy z pogodą ducha i wytrwaniem ponosić. Prenumerata roczna tylko 2 zł. 40 gr.

„Wanda Malczewska", jej żywot, doskonałe opracowanie ks. Alojzego Majewskiego P. S. M., staranne wydanie, a nadewszystko już ósme wydanie, mówią o wartości książeczki, którą polecamy naszym Sz. Czytelnikom.

Ks. Wincenty Pallotti, poprzednik Akcji katolickiej, 1795—1850, napisał ks. Alojzy Majewski P. S. M. wydanie trzecie.

Tę książeczkę każdy nasz dom polski mieć powinien. Jak pracować, jak siać dobre ziarno z głośnem echem wśród serc ludzkich — a w ciszy własnej duszy, jak wyrzec się wszystkiego, co powierzchowne a bez wagi, jak miłować ludzi, nauczać i przebaczać im wszystko, mając tylko ich dobro i szczęście na celu — dowiedzieć się trzeba z tej małej a tak dużej treścią książeczki.

Polecamy ją też gorąco naszym Sz. Odbiorcom „Rodziny Polskiej".

Kalendarz Królowej Apostołów z dodatkiem kalendarza ściennego — na rok 1935, już gotowy, wysyła się do odbiorców, których liczne zgłoszenia nadchodzą setkami do redakcji. Kalendarz ma bardzo obszerną i zajmującą część literacką, daje mnóstwo praktycznych wiadomości i jest bardzo licznie i pięknie ilustrowany. Polecamy go naszym Czytelniczkom, które nawet i dział „rad praktycznych", w każdem gospodarstwie niezbędny, znajdą w „Kalendarzu Królowej Apostołów".

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć powinien każdy, kto ma w Ameryce rodzinę, że generalny konsulat amerykański w Warszawie wymaga od emigrantów, ubiegających się o wizę wjazdową, przedstawienia dokumentów gwarantujących, stwierdzających stan majątkowy emigrantów.

Emigranci do Stanów Zjedn. A. P. powinni niezwłocznie skomunikować się ze swoimi krewnymi w celu nadesłania wymaganych gwarancyj wprost do konsulatu amerykańskiego, lub też na ręce emigrantów. Posiadacze kart wstępu z konsulatu amerykańskiego, którzy mają wiadomość że gwarancje te nie są jeszcze z Ameryki wysłane, nie powinni przyjeżdżać do Warszawy na oznaczony w karcie wstępu termin, lecz wysłać pocztą podanie do konsulatu o nadesłanie nowej karty wstępu, gdyż sprawa ich wyjazdu nie będzie rozpatrywana przez konsulat. Gwarancje, wyrobione w r. ub. są przedawnione.

Nieświadomość tych formalności może narazić na duże trudności, naszych ziomków.

Wiedzieć jest pożytecznie o nowo-ulepszonych środkach komunikacyjnych w telefonach. **Biuro zleceń** załatwia mnóstwo spraw, i za niewielką opłatą, może wyświadczać duże przysługi osobom, nie mogącym opuszczać domu, chorym, mającym terminowe sprawy, osobom zajętym wtedy, kiedy czas na zdobycie jakichś wiadomości jak np. w godzinach przedpołudniowych, mają wypełnione pracą zawodową i t. p. W każdym razie radzimy przeczytać szereg ofert podanych do wiadomości szerokiego ogółu. Są praktyczne i mogą być bardzo pożyteczne.

Wiedzieć nietylko powinna — ale w godziwej a ważnej akcji każda współdziałać winna. Otóż: do p. Komisarza rządu w st. m. Warszawie, po odbyciu narad w gronie przedstawicieli sfer rodzicielskich, społeczno-wychowawczych, duchownych i prawniczych, Z a r z ą d Zjednoczenia zrzeszeń rodzicielskich złożył podanie, w którem rzuca myśl zwołania wspólnej konferencji czynników rządowych, komunalnych i społecznych dla obmyślenia dróg, któremi ma kroczyć obrona przeciw szerzeniu się demoralizacji publicznej w kraju.

P. Komisarz przychylnie przyjął projekt zrzeszenia, z czego wynika, że niezbędne zarządzenia będą energicznie i skutecznie ujęte.

Każda z nas z najwyższą radością dowiedzieć się powinna, że powstał „Związek Polaków w Wolnem Mieście Gdańsku". Obszerniejsze o jego działalności sprawozdanie damy niebawem. Na dziś zaznaczyć pragniemy, że hasła jego są: strzec narodowości, wiary, dobrego obyczaju, pomagać w potrzebie, i prawdziwie trzymać się zasady: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego".

Wiedzieć trzeba i pamiętać o tem należy że: jesień się zbliża, że dzieci wrócą do szkół, że tow. „Dzielmy się" musi znów o ich dożywianiu pamiętać, i „śniadanka" dla nich szykować, że oczywiście przestanie wspierać tych, których powódź skrzywdziła a których, narazie objęło swą opieką. Z czego wynika: Nieśmy na Mochnackiego Nr. 11, do Centrali organizacji co kto i ile może, byle prędko, byle zaraz.

Nietylko wiedzieć, dzieciom i służącym czytać, przy każdej sposobności przypominać, obcych nawet przy sprzyjającej chwili — objaśniać, jak mają przechodzić przez jezdnie — powinien każdy, komu nieszczęśliwy wypadek bliźniego — nie obojętny.

Mimo, bowiem, ogłaszania wielokrotnego w pismach codziennych obowiązującego zachowania się publiczności na ulicy, powtarzają się bezustannie: przechodzenie ulicy na ukos, wyskakiwanie lub wskakiwanie do tramwaju w jego biegu, zatrzymywanie się na środku jezdni, co właśnie pomnaża owe wypadki. Przepisy policji państwowej pamiętać należy, a brzmią one jak następuje.

1) Przechodzić należy na skrzyżowaniach;

2) na jezdnię wchodzić tylko w razie konieczności przejścia przez ulicę, lub do tramwaju;

3) przechodzić przez jezdnię najkrótszą drogą, lub po linjach wyznaczonych, a nigdy naukos. Przy skrzyżowaniu przejść najprzód przez jedną ulicę, a potem przez drugą. Zwracaj uwagę na znaki policjanta;

4) przed wejściem na jezdnię spojrzyj w lewo, gdyż stamtąd grozi ci niebezpieczeństwo, a — dochodząc do środka jezdni — na prawo;

5) idź pewnym krokiem przez jezdnię; nie biegnij. Nigdy się nie cofaj;

6) nie wchodź na jezdnię nagle, ani z za wozów, samochodów i t. p., które zasłaniają ci widok na nadjeżdżające z lewej strony pojazdy;

7) gdy spostrzeżesz, lub usłyszysz nadjeżdżający pojazd, nie trać głowy i nie wahaj się, lepiej zatrzymaj się;

8) nie stój nigdy na jezdni. Na tramwaj lub autobus oczekuj na chodniku, lub wysepce;

9) nie wskakuj i nie wyskakuj z tramwaju, lub autobusu w biegu;

10) wysiadaj z pojazdu zawsze na chodnik, a nigdy na jezdnię, gdyż zostaniesz przejechany.

Wiedzieć trzeba dla zachowania zdrowia dzieci, że: ważna sprawa nabywania **Mleka**, wchodzi na racjonalne tory i że:

Na mocy rozporządzenia p. komisarza rządu z d. 17 kwietnia r. b. od 15 sierpnia wprowadzono przepisy o obrocie mlekiem i dozorze nad mlekiem i jego przetworami na obszarze całego starostwa śródmiejskiego, t. j. na terenie komisarjatów 1, 9, 10, 12 i 13, na obszarze starostwa grodzkiego południowego na terenie komisarjatu 2.

Na mocy tego zarządzenia sprzedaż mleka i śmietanki z dostawą do mieszkań jest dozwolona **tylko** w oddzielnych naczyniach zamkniętych, zabezpieczających mleko lub śmietankę od zanieczyszczeń i zaopatrzonych w wyraźny, nie dający się usunąć napis, zawierający imię, nazwisko i adres właściciela mleka.

Winni przekroczenia pociągnięci będą do odpowiedzialności w drodze sądowej, w myśl art. 35 rozporz. Prez. Rzplitej z dnia 22 marca 1928 r. o dozorze nad art. żywności i przedmiotami użytku.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Wystawę lnu, na krosnach i w wielkich sztukach płótna i w wyrobach aż do oszklonych szaf i wytworny w nich pokaz pięknych sukien i płaszczów lnianych i ubrań sportowych i bielizny stołowej oglądaliśmy wszyscy na wystawie zorganizowanej w Dolinie Szwajcarskiej. Na szczęście nie przebrzmiał ten pokaz bez echa. Mnóstwo sukien, płaszczów, żakietów, widujemy na ulicy. Są modne, ale nie mogą być tylko jednodniówką. Produkcja płótna to należyte zużytkowanie lnu, którego mamy dużo. Duże zapotrzebowanie jego przeróbki — to podniesienie bytu rodziny włościańskiej, która w ogólnym ciężkim stanie rolnictwa, jeszcze nawiedziona straszną klęską powodzi, czeka na ratunek. Oczywiście sezon płótna się kończy, ale na szczęście nieskończyło się hasło popierania wyrobów lnianych, bo oto na Zjeździe Rady Naczelnej Zjednoczenia Młodzieży Polskiej w Poznaniu zapadła uchwała, mocą której weszły w życie **lniane mundurki żeńskie członkiń organizacyj.** Jeżeli młodzież nasza ogarnie sprawę odzieży lnianej swą pieczą, możemy być spokojni, że stanie się to z dobrem tych mas naszej ludności, z której pracy my mamy chleb — a ona chleba niema.

O kurzym Raju w Julinie, jaki stworzyła ś. p. Helena Paderewska niedaleko Warszawy, nad rzeką Liwcem, w prześlicznem położeniu, pisaliśmy już nieraz. Było to w roku 1924, kiedy dbała o rozwój naszej pracy pani Paderewska — zauważyła, że hodowla racjonalna drobiu może i powinna rozwijać się w kraju, dając zastępom kobiet nietylko zajęcie, ale i zajęcie dochodowe. A więc szkoła.

— Tu powinna stanąć trwa a szkoła. Jest las, rzeka, dom, który z małemi zmianami doskonałe może stanowić pomieszczenie dla uczenic. Tu będzie państwo kurze — a tam, — mówi a, wskazując dużą przestrzeń lasu — tam już tylko produkcja gotowa do sprzedaży. Możecie objąć wszystkie hotele, jadłodajnie i stać się najlepszymi dostawcami, nie zaniedbując nauki, której zdobywanie będziecie miały tutaj ułatwione.

Pamiętam, jak to mówiła, pamiętam jak się cieszyła basenami, które miały zawsze świeżą wodę z Liwca i jak oglądała ogród, jak zaznaczała miejsce na postawienie motoru elektrycznego — i jak nadsyłała ze swej świetnej hodowli szwajcarskiej w Morges, najpiękniejsze okazy drobiu do rozpłodu.

Na szczęście, szkoła istnieje do dziś. Przejęta przez Warszawską Izbę Rolniczą, ma zapewniony stały byt. Uczennice nabywać w niej mogą wszechstronną w tym kierunku wiedzę. Kursy trwają 11 miesięcy. Gruntownie obmyślony program, da je gwarancje prawdziwej umiejętności w zakresie, który jeszcze dotąd, nie stoi u nas na stopie dorobków zagranicznych w tej dziedzinie.

Adres Zarządu Szkoły, która najchętniej służyć będzie wszelką informacją jest: Szkoła Hodowli Drobiu, poczta Łochów, w Julinie.

Pierwszy kongres kobiet rusińskich odbył się w Polsce. Proszę pokazać ile państw w Europie da dowód tak szeroko pojętego poszanowania dla swej „mniejszości". Kongres odbywał się w Stanisławowie. Delegatek na sali w chwili otwarcia kongresu było 650. Przewodnictwo objęła posłanka Rudnicka. Cały kongres odbywał się w atmosferze najwyższego napięcia patrjotycznego dla Ukrainy.

W Krakowie odbędzie się międzynarodowy kongres wychowania moralnego w dn. od 11 do 15 września r. b. Współudział kobiet, jako tych najbezpośredniejszych wychowawczyń, jest niezmiernie pożądany i ważny.

Z MINIONYCH CHWIL

Ciężkie ponieśliśmy straty w ubiegłym miesiącu!

Marja Skłodowska-Curie, wielka uczona, która okryła nasz naród, wobec całego świata sławą nieśmiertelną, zmarła we Francji, drugiej swej ojczyźnie. Odkrycie przez nią zrobione zmieniło, jak mówią uczeni, pojęcie dotychczasowe o budowie materji świata. Ale dla biednej na tym świecie ludzkości, trapionej przez nieodłączne od życia cierpienia to odkrycie przyniosło leki uśmierzające ból, a często ratunek życia.

Marja Skłodowska-Curie, odkryła nowy pierwiastek zwany radem, którego lecznicze własności przychodzą z pomocą najstraszniejszej dziś — chorobie raka. Statystyka nie stwierdza dotąd zupełnego zawsze uleczenia w ciężkich wypadkach, ale stwierdza już uśmierzenie cierpień i niemal zawsze uleczenie raka zewnętrznego, a kuracja — niezawodne przedłużenie życia. Imię Uczonej, z pochodzenia — Polki — cały świat zapisuje w szeregach dobroczyńców ludzkości.

Ks. rektor Edward Szwejnic, ten niezastąpiony przyjaciel młodzieży akademickiej — rozstał się z nią, niespodziewanie, przedwcześnie, zostawiając głęboki żal w sercach, wszystkich, którzy mieli sposobność Go znać, a nieutulony ból w młodych sercach dziesiątka tysięcy tych, których był duchowym przewódcą, których kochał, których rozumiał, których wiódł po drogach podniosłych i którzy Mu też nad mogiłą składali przysięgę wiernej o tem pamięci. Więc ś. p. ks. rektor Szwejnic żyje, bo młode serca Go wielbią, a dusze, są pełne Jego wielkiego tchnienia, z którem pójdą przez dalsze dni swych dróg na świecie.

Piotr Maszyński artysta muzyk, artysta duszą, sercem, obywatel, miłujący kraj. Artysta, który w czasach naszej niewoli stworzył chór śpiewaczy „Lutnię" i po całym kraju, jeździł z pieśnią polską, krzepiąc ducha, budząc najszlachetniejsze uczucia, wydobywając swemi własnemi utworami muzycznemi nieopisane stany zachwytu, wzruszeń — nie żyje. Bóg, w którego wierzył, pozwolił Mu cieszyć się dziećmi, dziedziczącemi wszystkie cnoty i dary — ojca. Odszedł też pogodny do ostatka, przyjmując to rozstanie z najdroższymi — jako wolę Pana.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. W. L. w Czemiernikach. Jeśli Pani pragnie wiadomości ze „światów egzotycznych" — to polecić możemy wydawnictwo p. t. „Naokoło Świata", redaktor Jan Gebethner, a więc pismo pewne. Treść urozmaicona, literacko staranna, ilustracje na dobrym papierze, wybrane doskonale i całość zajmująca. Adres Redakcji, ul. Zgoda 12. Warszawa, prenumerata kwartalna w kraju z przesyłką wynosi 4.40 zł. Numer okazowy na żądanie wyślą Pani niezwłocznie.

P. Walerji N... z Opatówka. Właśnie świeżo otwarto „*Pierwszą Poradnię Przyrodoleczniczą*" w Warszawie, ulica Szopena 18. (tel. 8.71.11). Prospekt przestrzega przed zbytniem i gwałtownem obchodzaniem i samowolnie stawianym programem diety. Organizm nasz jest tak złożony. To, co jednemu pomaga, drugiego zabija, że najgoręcej ostrzegamy Panią i przed tą dietą i przed głodówkami. Zdrowia lekceważyć nie należy, więc niech Pani bez odpowiedniej rady fachowej— nie robi na sobie eksperymentów, bo łatwo stracić skarb, który dodaje nam sił i możności pokonywania trudności obecnego życia, o czem nam Sz. Pani w liście pisze. Może Sz. Pani listownie porozumieć się z „Poradnią", która chętnie służyć będzie informacją.

Pannie Zofji R. w Tomaszowie. „Entuzjazm" to wielka siła. Nic się bez niego na świecie nie dzieje. A „zawód", to sprawa ludzka. Nie należy jednak długo trwać w rozpamiętywaniu doznanej krzywdy. Tylko to, co sumienie nam o nas mówi, jest dla nas miarodajne. Jeśli ono nic nie wyrzuca, niech Pani dalej, kochając swoją zawodową pracę, idzie naprzód. Kłaść w to, co się robi, duszę i serce, pełnić sumiennie swe zobowiązania. Entuzjazm swój dalej pielęgnować bo to doskonała przyprawa do życia a wróci humor i zdrowie, którego nie należy marnować na rozmyślaniu o minionem złem. Słońce świeci jasno, niech Pani jego promieniami nasyci duszę, a świat znów będzie w oczach Pani tak piękny, jakim jest w istocie.

P. Marji Wol... w Radzyminie. Wogóle liczba dzieci w wieku szkolnym zwiększyła się w r. b. o 200.000 i dochodzi do 5.412.000 dzieci. Czy znajdą wszystkie dzieci potrzebujące nauki — na to odpowiedzieć trudno. Odnośne władze robią usiłowania, aby się to stało, czego gorąco wszyscy pragniemy.

WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE W PKO. W MIESIĄCU LIPCU 1934 R.

Wkłady oszczędnościowe w PKO. wzrosły w miesiącu lipcu b. r. o 10.771.222 zł. osiągając na dzień 21. 7. 34 stan 535.170.030 zł., łącznie zaś z wkładami pochodzącemi z waloryzacji dawnych wkładów markowych 559.436.568 zł.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w PKO. W ciągu lipca r. b. PKO. wydała 32.052 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 31. 7. 34 ogólną liczbę 1.282.277 książeczek, łącznie zaś z książeczkami pochodzącemi z waloryzacji 1.312.925 książeczek.

KĄCIK DLA DZIECI

SKARB

— Oj bieda nam, bieda! — Pawełku! — wzdychał siwy ksiądz proboszcz — kościołek przez tę wojnę zrujnowany, ledwo się mury trzymają, a niema skąd wziąć na naprawę, boć i ludzie też poniszczeni przez tę zawieruchę okrutną. Aż strach serce ściska, że maluczko, a nie będzie gdzie i służby Bożej odprawiać! — westchnął staruszek żałośnie i siwą głową pokiwał. Żal ścisnął sercem Pawełka. Dzieciątkiem maleńkiem odumarli go rodzice, nikogo bliskiego na świecie nie miał i żeby nie ksiądz proboszcz, co paroletniego sierotkę przygarnął i wychował, z głoduby pewnie zamarł. Dobrze się Pawełkowi działo na plebanji. Panna Honorata, proboszcza siostra, co mu gospodarstwo całe prowadziła, pokochała sierotkę i dbała o niego jak o dziecko rodzone; ksiądz proboszcz uśmiech miał dlań zawsze ojcowski, a wolne chwile poświęcał na kształcenie serca i umysłu chłopczyny. — Nawet jak co Pawełek przeskrobał, to łagodna wymówka, a zasmucenie dobrych opiekunów stokroć mu sroższą karą były, niżby plagi najgorsze miał wycierpieć. Kochał też i szanował tych swoich opiekunów i radby im nieba przychylić. To też widząc boleść księdza zafrasował się sam srodze, jakby też tu dopomóc. Nagle podniósł rozjaśnioną twarzyczkę. — Proszę jegomości — powiedział — jegomość tak się frasuje, a przecie skarb mamy ukryty! — Skarb? — zadziwił się wyrwany z zadumy ksiądz. — A jakże! Toć pan organista mi opowiadał, że ponoć podczas powstania, ksiądz proboszcz ówczesny, przed kozakami, cały majątek kościoła gdzieś zakopał, jeno, że go znaleźć nie można

— Ano właśnie, że go znaleźć nie można — uśmiechnął się ksiądz. — A prawda to, dobrodzieju? — W każdej bajce połowa prawdy — ksiądz odparł — że kościół zasoby spore miał, toć z zapisków starych widać, że potem ich nie znaleziono, też wiadomo; ale co się z tem stało?... Proboszcza, wiernego syna Ojczyzny, na Sybir wywieźli Moskale i tam życia dokonał i.... — I nic nie zostało? — Ano została taka krótka notatka i ustna wiadomość kościelnego Jakóba, któremu się rozum poplątał i na stare lata jeno powtarzał: „skarby dobrze schowane, nikt ich nie dostanie, Jakób sekret umie trzymać"..... i nic więcej z niego wydobyć nie można było. — A ta notatka? — Ano jest. Chcesz, to ci pokażę. Ciekawym co z tego zrozumiesz... — i podniósłszy się z fotela, podreptał staruszek do skrytki, gdzie wszystkie papiery miał umieszczone. Poszperał, z grubej teki wyjął kartkę bibulastego papieru zapisanego wyblakłym atramentem: No masz! Czytaj! — Z biciem serca ujął Pawełek papier w rękę: — Ależ to wiersze! — wykrzyknął. — A wiersze, wiersze — przytaknął proboszcz — ale czytaj!

(1) Kiedy chcesz w południe chłodu
To pośpieszaj do ogrodu.
Pod kasztanem bawić — miła,
Ale innych drzew też siła.
Lipa rośnie niedaleko
Też ochroni cię przed spieką.
(2) A gdy grab cię chłodem cieszy,
Chętnie i tam człek pośpieszy.
Stamtąd błądzi twoje oko
Na sad rozsiadły szeroko.
A najbardziej serce wzrusza
Nasza polska stara grusza.
Tam w jej południowym cieniu
Usiądź chętnie na kamieniu.
(3) Tak południa czas przetrawisz,
Cieniem swym też się zabawisz.

Przeczytał Pawełek raz i drugi, pokręcił głową i podniósł zdziwione oczy na księdza.

— Rozumiesz co z tego? — zapytał ksiądz z uśmiechem. — Niebardzo, proszę dobrodzieja. Ale coś mi się widzi, że te drzewa to mają jakoś pokazywać..... — Tak, tak — przerwał staruszek — nietylko się tobie to „widzi" i niejeden już sobie głowę łamał — ale ileż to drzew wycięto, ile nowych posadzono, traf tu na właściwe. — A co ty tak ruszasz ustami — spytał nagle chłopca. — A to proszę dobrodzieja — odpowiedział Pawełek — powtarzam te wiersze — i bez zająknienia wyrecytował całość z pamięci. — Ho! ho! Głowa nie do pozłoty z ciebie. Warto cię będzie uczyć, warto — uśmiechnął się dobrotliwie opiekun. Pawełek tak się przejął opowieścią ową, że spać w nocy nie mógł, a ciągle kombinował: „od kasztana do lipy, od lipy do wiązu, potem w sadzie grusza, ale która?.. i kamień! Jaki kamień!" Skoro świt zerwał się i pobiegł do ogrodu, chodził, szukał, napróżno — nic nie odpowiadało wskazówkom. Chodził tak zafrasowany dzień jeden i drugi — aż panna Honorata, widząc, że chłopak mało co je, dodnia wstaje, do proboszcza wystąpiła z pretensją.

— A ksiądz brat to głowę chłopaczkowi nauką zawraca, że i nie doje i nie dośpi. Młode to jeszcze, przemęczy sobie umysł i, co niedaj Boże, rozchoruje się. — Zafrasował się ksiądz proboszcz i uradzili, żeby Pawełkowi tydzień dać wakacyj. Nie wiedział chłopak powodu tej wolności, ale że bardzo mu na rękę była, więc z radości aż podskoczył, co tembardziej pannę Honoratę w jej mniemaniu utwierdziło.

Na trzeci dzień wakacyj, po wczesnej mszy rannej, do której służąc, modlił się Pawełek z serca, by mógł odwdzięczyć się swym dobroczyńcom, pobiegł wgłąb ogrodu i, usiadłszy w cieniu starego kasztana, zamyślił się głęboko, nagle słońce ostro mu w oczy zaświeciło. Południe blisko — pomyślał i rozejrzał się wokoło. Ostre promienie słońca docierały pod kasztanowe gałęzie, podniósł się mimowoli Pawełek i, szukając cienia, skierował swe kroki w boczną aleję. Usiadłszy pod starem drzewem, podniósł oczy w górę, i spostrzegł, że siedzi pod lipą — coś mu nagle w myśli się rozjaśniło — o Boże! — Teraz grab — szeptał gorączkowo — blisko sadu, cała aleja grabowa wiedzie do sadu. — Więc na jej koniec.... dwa rosną graby, któryż to.... tego pień olbrzymi, siądę tu i spróbuję patrzeć na sad..... a teraz ta grusza.... któraż to może być — sad duży — ale zaraz: „polska nasza grusza"" — już wiem! Toć to ta wielka stara ulęgałka, co to dobrodziej tak ją lubi, bo mu dziecinne lata przypomina — jednym skokiem znalazł się przy gruszce. Słońce stało wysoko, cienie coraz ostrzej się znaczyły. Pawełek patrzył uporczywie na coraz skracający się cień gruszy. — Południe! — zawołał i skoczył w miejsce gdzie na cieniu znaczył się wierzchołek drzewa. Stuknęło mu coś pod nogami. Rozgarnął trawę. Do pół w ziemię wrosły leżał kamień podłużny, snać kiedyś za ławkę służył, powoli zapadł w ziemię i mchem zielonym obrósł cały. Odgarnął mech Pawełek i na kamieniu zoczył wyryty krzyż i takież litery jak i podpis na wierszu i strzałka. Znalazłem — krzyknął Pawełek — ale prawda: „usiądź chętnie na kamieniu..... cieniem własnym się zabawisz...." powtarzając koniec wiersza, usiadł na kamieniu w kierunku strzałki, a ujrzawszy gdzie cień jego padał, oznaczył to miejsce gałęzią i pobiegłszy do domu, porwał łopatę i wybiegł, nie odpowiadając na pytania panny Honoraty, która, przerażona, pobiegła po brata i oboje zaniepokojeni podreptali szukać Pawełka. A ten kopał jak oszalały, sam nie wiedział skąd mu się siły brały, nagle łopata szczęknęła o coś twardego i po chwili ujrzał Pawełek wierzch kutej żelaznej skrzynki. —

Gdy proboszcz z panną Honoratą wreszcie znaleźli swego wychowanka, mozolił się właśnie, by wykopać do reszty skarb znaleziony, a zobaczywszy swych opiekunów, rzucił im się na szyję, z płaczem, niepomny, że cały ziemią umazany.

Wydobyto skrzynkę i rzeczywiście znaleziono w niej piękne kielichy, monstrancję, jak również spory woreczek dukatów.

Było za co kościółek odnowić!

I tak odwdzięczył się Pawełek swym dobroczyńcom

H. Rostafińska-Choynowska.

Wydawcy: Stowarzyszenie Mis. Księży Pallotynów. Redaktor: Józef Czarnecki.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

TRZECI KONKURS KWARTALNY
(Zakończenie)

Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy**, licząc od daty otrzymania numeru.

O ile kto z uczestników z jakichkolwiek przeszkód, nie mógł nadesłać rozwiązań z nrów lipcowego i sierpniowego, może to jeszcze uczynić obecnie, nadsyłając rozwiązania z całego kwartału bieżącego, w terminie wyż. podanym.

10. SZARADA (2 pkt.)

Staro-raz czy postępowy
każdy dziś **dwa-trzecie-czwarte**!
Pełne trosk są nasze głowy,
życie takie mało warte.
Los nas **czwór-trzy** i nie pieści!
Człowiek ciągle tonie w brakach!
Całość — tytuł to powieści
jednej z chlub, mistrza-Polaka!

T. Sobecki, Poznań.

11. Z WODY NA WODĘ... SPORTOWE ZAGADKI (3 pkt.)

a) Do litery dodaj siebie
i jeszcze spółgłoskę,
a zajedziesz nim z Warszawy,
aż w mury krakowskie.

b) Byś nie błądził po manowcach
długo i daremno,
weź i drugą też spółgłoskę
wraz ze smołą ziemną.

c) By zaś twoje przedsięwzięcie
było też coś warte,
musisz wkońcu w samogłoskę
dać zwierzę uparte.

Z. Ptaszyńska (czł. Kl. Sz.)

12. DOMYŚLANKA (3 pkt.)

Podanemi niżej literami należy uzupełnić wyrazy:

Wi — — —, A — —, pię — —, ko — —, ko — — ta, iz — —, tap — — — n, ża — — t, a — — let, gą — — or, Ka — — a, cha — — t, ro — — ta, po — — wa, li — — um.

(Litery: 4 a, 4 b, 3 c, 1 ć, 2 e, 1 h, 2 i, 2 ł, 1 m, 3 o, 1 p, 1 r, 3 s, 1 ś, 1 u, 2 z.)

Gdy po porządku odczytamy dodane do wyrazów litery, otrzymamy pewien aforyzm jako rozwiązanie, które podać należy bez wyrazów.

E. Wieliczko (czł. Kl. Sz.)

13. CO TO? (3 pkt.)

Pierwsze — szynk, a **drugie** — głoska,
pierwsze-drugie statek znaczy,
drugie-trzecie — kolor w kartach,
trzecia-czwarta — cel oraczy.
Całość nosi wdzięczne miano,
ujrzeć możesz ją w Italji, —
można również ją usłyszeć
w mieście dożów gdzieś na fali.

A. Mieczkowski (czł. Kl. Sz.)

14. PRZERZUCANKA
(po 3 pkt. — razem 6)

1) Glejt — doba — polo — cena.
2) Torf — łamie — uczę — okostny.

Litery podanych wyrazów należy poprzestawiać tak, aby utworzyły się znane przysłowia.

A. Szyszkowski.

15. PODWÓJNA WĘŻOWNICA (6 pkt.)



a) W ramę zewnętrzną należy wpisać 10 wyrazów, które zaczynają się przy cyfrach. Dwie wzgl. trzy litery początkowe, są zarazem końcowemi łączącego się wyrazu.

b) W figurę środkową należy wpisać 5 wyrazów, których końcowe litery są początkowemi następnych.

Znaczenia wyrazów w ramie: 1. Pospolite imię psa. Znak stopy. (Dwa wyrazy po 4 litery). 2. Wyspa na m. Śródziemnem (fonet). 3. Okryta kirem. 4. Środek uśmierzający ból. 5. Odmianę skalenia. 6. Człowiek utytułowany. 7. Stołek. 8. Rozkład związków chemicznych na ciała prostsze, dokonywany ciepłem. 9. Poziomołuk. 10. Roślina liljowata o kwiatach silnie pachnących.

(Ilość liter: 4 a, 2 b, 1 d, 2 e, 2 i, 1 k, 1 l, 1 ł, 2 m, 2 n, 8 o, 1 p, 5 r, 7, t, 2 u, 2 y, 2 z.)

Znaczenia wyrazów środkowej wężownicy: 1. Rygiel u drzwi. 2. Zastępca diakona. 3. Kajman. 4. Gra nierozegrana. 5. Baletnik. (Ilość liter: 4 a, 1 c, 2 e, 1 f, 1 g, 3 i, 1 k, 2 l, 1 m, 1 n, 2 o, 2 r, 2 s, 4 t, 1 u, 1 w, 2 z.)

T. Sobecki, Poznań.

ZE ŚWIATA RADJA

Opieka radja nad Polakami zagranicą

Światowy Zjazd Polaków z zagranicy, który odbywał się ostatnio w Warszawie, zwrócił w sposób zdecydowanie otwarty uwagę na radjo jako na czynnik łączności emigracji z krajem ojczystym. Radjo bowiem dla całej rzeszy polskich emigrantów, rozrzuconych po wszystkich krajach Europy i kontynentów zamorskich, jest najprostszym środkiem nieustannego kontaktu z żywemi źródłami kultury polskiej. Wśród najważniejszych czynników, które bronią przed wynarodowieniem, a więc wśród książki polskiej i prasy, postawione zostało radjo jako trzeci element nowoczesnej opieki nad rodakami na obczyźnie.

Komisja Kulturalno-Oświatowa II Zjazdu Polaków z zagranicy opinje swe w sprawie pożytku radja dla celów opieki nad zachowaniem naszego narodowego stanu posiadania w krajach emigracji, sformułowała w całym szeregu wniosków, z których treścią winni zapoznać się wszyscy interesujący się tym ważnym problemem państwowym. „Książka polska, prasa polska i polska audycja radjowa — czytamy we wniosku — winny stanowić element stałego uczestnictwa rzesz polskich zagranicą w życiu kulturalnem i umysłowem narodu i winny być codziennym łącznikiem z Macierzą".

Dotychczasowe sukcesy Polskiego Radja

Uchwały te wysuwają na pierwszy plan znaczenie Polskiego Radja w dziedzinie opieki nad naszą emigracją poza granicami Państwa. W tych częściach Europy, gdzie Raszyn jest dobrze odbierany, wszelkie trudności odpadają same przez się. Chodziłoby tylko o to, aby wśród emigracji naszej propagować potrzebę posiadania w każdej rodzinie emigranckiej dobrego odbiornika i za-

chęca wszystkich do słuchania polskich audycyj. Cały jednak szereg delegatów, którzy przybyli na Zjazd, zwraca uwagę, że są kraje, gdzie stacyj polskich można słuchać na średnim odbiorniku tylko z największą trudnością i przy sprzyjających warunkach. Na to oczywiście trudno poradzić. Polskie Radjo czyniło i czyni bardzo duże wysiłki na terenie międzynarodowym, aby uzyskać dla najsilniejszej naszej stacji, dla Raszyna, taką falę, któraby dawała maximum pewności, że będzie dobrze odbierana we wszystkich krajach ważnych dla Polski ze stanowiska propagandowego. Wielka jednak ilość silnych stacyj nadawczych, pracujących na falach zbliżonych do raszyńskich, poważnie paraliżuje te wielkie wysiłki, czego byliśmy świadkami nawet ostatnio w Polsce, gdzie odbiór radjowy był poważnie zagrożony przez t. zw. interferencje. Obecnie sytuacja jest już o wiele lepsza i należy przypuszczać, że uda się w tej dziedzinie osiągnąć Polskiemu Radju dalszą wybitną poprawę.

Sytuacja zupełnie zmienia się, gdy chodzi o obsłużenie przy pomocy radja naszej emigracji zamorskiej, specjalnie zaś Polaków w Stanach Zjednoczonych i Polaków w Brazylji. Nawet najsilniejszy Raszyn i najlepsza dla niego fala nic tu nie pomoże. Do obu Ameryk można nadawać audycje radjowe tylko przy pomocy fal krótkich, nadawanych za pośrednictwem anten kierunkowych.

Wprawdzie Polskie Radjo omija dziś szczęśliwie te trudności, organizując sporadycznie specjalne audycje dla Ameryki Północnej, które drogą kablową transmitowane były z Warszawy do Anglji, stamtąd zaś przekazywane były przy pomocy krótkofalowego nadajnika na stacje National Broadcasting Company, słuchane w całej Ameryce. Tą metodą nadano do Ameryki przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, nabożeństwo z Jasnej Góry i inne.

Nowe życie na falach krótkich

Z chwilą, gdy Światowy Związek Polaków wyraził życzenie regularnego i codziennego dostarczania środowiskom emigranckim polskich audycyj radjowych, sprawa weszła na inne tory. Z inicjatywy Prezesa Polskiego Związku Krótkofalowców inż. Karaffy-Kreuterkrafta do pracy utrzymania łączności z Polonją zagraniczną stanęli wszyscy radjoamatorzy krótkofalowcy. Przy pomocy tanich aparatów krótkofalowych amatorzy ci nawiążą stałą łączność ze skupieniami polskiemi na obczyźnie, stając się czynnikiem trwałego i ustawicznego kontaktu emigracji z Ojczyzną.

Polski Związek Krótkofalowców zamierza stworzyć w najbliższym czasie kluby krótkofalowców wśród polskiej emigracji zagranicą. Zadaniem tych klubów będzie zjednoczenie wszystkich krótkofalowców wśród emigracji polskiej, szerzenie propagandy krótkofalarstwa wśród miejscowej kolonji polskiej, oraz budowa nowych amatorskich stacyj krótkofalowych. W ten sposób ruch ten niezmiernie pożyteczny z punktu widzenia pracy państwowej wewnątrz kraju (podniesienie kultury technicznej, szkolenie pracowników obrony kraju) staje się również pierwszorzędnym czynnikiem w utrzymaniu stałej łączności wychodźtwa naszego z Macierzą i przyczynia się do wzmożenia serdecznych węzłów między Polakami na całym świecie.

Oczywiście, w dalszym rozwoju programu łączności radjowej między Polską a skupiskami naszych rodaków na obczyźnie, leży budowa silnej krótkofalowej stacji nadawczej, któraby przy pomocy anten kierunkowych nadawała wprost do odpowiednich środowisk audycje polskie. Realizując te zamierzenia odrobilibyśmy tylko swe opóźnienie w stosunku do takich krajów jak Anglja, Francja, Belgja czy Niemcy, które już dawno u siebie przez wybudowywanie stacyj krótkofalowych nawiązały bezpośrednio z kraju macierzystego łączność ze swemi kolonjami i zapewniły im stałe codzienne audycje, słuchane z wielkiem zainteresowaniem na odległych terytorjach Australji, Indochin, Konga czy Argentyny.

Jak trzeba mówić do mikrofonu

Przed mikrofonem *niewolno mówić niewyraźnie.* Każdy wyraz musi być doprowadzony do końca. Niewolno pozwalać sobie na *„zjadanie" liter lub końcówek,* jak to robimy w mowie potocznej. Nasz rozmówca domyśli się czego trzeba. Słuchacz radjowy nie domyśla się bynajmniej. Niewyraźne końcówki i *brak pauz między słowami* — denerwują słuchacza i drażnią. Z czego nie wynika bynajmniej, że należy wpadać w przesadę. *Pedantyczne wystukiwanie* słów jest również nużące.

Jednym z najpospolitszych błędów jest *zbyt głośne mówienie* przed mikrofonem, co jest nietylko zbędne, lecz szkodliwe. Z tego, że słuchacz znajduje się w Gdyni lub Cieszynie wcale nie wynika, aby z Warszawy trzeba było do niego krzyczeć. Mikrofon wogóle wykrzykiwania nie znosi. Zasadą jest przemawianie takie, jak np. mówi się przy stole lub w salonie. Nadużywanie głosu daje ten efekt, że prelegent jest gorzej słyszany. Trzeba zawsze o tem pamiętać, że słuchaczowi radjowemu nie pomaga w zrozumieniu prelegenta żaden inny zmysł i dlatego musi on natężać słuch, to zdenerwowany przestaje wogóle słuchać. Mówić więc należy niezbyt głośno i bardzo wyraźnie. Ściszenie i przenikliwość głosu więcej pobudzają słuchacza, niż głos podniesiony i natężony. Wszelkie braki wymowy dyskwalifikują prelegenta w radjo zupełnie, a więc *seplenienie, jąkanie, głos świszczący* i t. d.

Ponadto prelegent, który ma wygłosić odczyt w oznaczonym terminie, powinien traktować to zadanie, jak śpiewak przed występem na scenie, pamiętając, *że kaszel, chrypka, katar* w czasie wygłaszania odczytu radjowego sprawiają fatalne wrażenie. Jest też rzeczą ważną, pozbycie się tremy. W tym celu najlepiej nie wyobrażać sobie tłumu słuchaczy, a raczej myśleć o kimś bliskim i do niego mówić. Trema jest tem szkodliwsza, im bardziej odbija się w głosie mówiącego i im bardziej doprowadza do tych niedopuszczalnych przed mikrofonem nawyczek, jak chrząkanie i wszelkie „eee", jakiem niektórzy mówcy hojnie szafują. Należy również bardzo starannie operować oddechem, wciągać powietrze cicho i tylko na znakach przestankowych.

Jeśli nie należy mówić zagłośno, ani zbyt cicho, to również trzeba *wystrzegać się wygłaszania odczytów tym samym tonem i głosem.* Głos mówiący ciurkiem odstraszy każdego słuchacza. Bardzo wiele ciekawych odczytów nie zostało z tego powodu wysłuchanych. Nietylko *nadawanie akcentów logicznych,* lecz nawet umiejętne *modulowanie* głosu jest konieczne. Bezbarwny pod tym względem odczyt zupełnie niezależnie od treści jest przez słuchacza oceniany, jako t. zw. „drewniana piła" i wywołuje w nim zupełnie zdecydowaną, a dla prelegenta zwykle niepożądaną reakcję. O ile umiejętne modulowanie tonu i sposobu mówienia jest konieczne, o tyle prelegent powinien bardzo ostrożnie używać t. zw. *patosu* nawet w takich momentach odczytu, które na estradzie najzupełniej usprawiedliwiałyby ton patetyczny. Jest efekt, którym w radjo należy szafować z wielkim umiarem, gdyż często bardzo przetransponowany na gorsze słuchawki lub liche głośnik daje w wyniku świst, zgrzyt, trzeszczenie, lub napół zrozumiały bełkot, zamiast spodziewanej uroczystości tonu. Pozatem zważyć należy, że człowiek współczesny, człowiek konkretu nie znosi patosu i uważa go za śmieszny.

Obok cieniowania i umiaru, ważna jest sprawa *tempa.* Tempo zbyt szybkie jest niedopuszczalne, tempo za powolne jest zbyt pedantyczne i nudne. Należy przeplatać. Najlepiej zaczynać wolno, potem nieco przyśpieszać, znowu tempa wolnego użyć, zawsze dla podkreślenia ważnego ustępu. Wskazane jest *zaopatrzyć rękopis w znaki,* wskazujące kiei jak głos modulować, kiedy wprowadzać specjalną intonację. Nie należy natychmiast prostować drobnych pomyłek, gdyż słuchacze ich nie dostrzegają.

Radjo tematem obrad II Zjazdu Polaków z Zagranicy

Komisja Kulturalno Oświatowa II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy powzięła bardzo znamienny wniosek w sprawie książki polskiej, prasy polskiej i polskiej audycji radjowej jako więzi kulturalnej Polonji zagranicznej z Macierzą. Wniosek ten, owiany nawskroś nowoczesnym duchem w zakresie opinji kulturalnej nad skupiskami polskiemi poza terytorjum Państwa mówi:

„Dla należytego wykorzystania radja w zakresie kontaktu kulturalnego środowisk polskich zagranicą z Macierzą, zaleca się polskim radjosłuchaczom na emigracji jak najczęstsze korzystanie z polskich radjostacyj nadawczych, które winny przystosować swe urządzenia techniczne i programy do potrzeb Polonji zagranicznej. Zaleca się też ośrodkom polskim zagranicą rozwinięcie ruchu krótkofalowego jako dogodnego środka utrzymywania stałej łączności z Macierzą i między sobą. We wszystkich większych ośrodkach emigracji winny powstać kluby krótkofalowców, utrzymujące ścisły kontakt z Polskim Związkiem Krótkofalowców.

Kluby krótkofalowców polskich zagranicą poczynią starania o wybudowanie własnych krótkofalowych stacyj klubowych, tworząc w ten sposób sieć polskich stacyj nadawczych zagranicą". — Zrealizowanie tego wniosku zapewni nietylko stworzenie Związku Krótkofalowców Polskich na Emigracji, ale i również przyczyni się do tego, że rzuceni w morze obcych wpływów narodowościowych nasi emigranci otrzymają możność codziennego słuchania polskiego słowa, polskiej pieśni i polskiej muzyki.